

James Clavell

Tai Pan



[Kup książkę](#)

James Clavell

Tai-Pan



Tłumaczenie:
Małgorzata i Andrzej Grabowscy

vis-à-vis
Kup książkę
Kraków 2022

Tytuł oryginału: *Tai-Pan*

Copyright © by James Clavell, 1966

Chciałbym wyrazić serdeczne podziękowanie mieszkańcom Hongkongu za to, że poświęcili mi tyle czasu i trudu, odsłaniając przede mną karty przeszłości i zapoznając z dniem dzisiejszym. Naturalnie książka ta jest powieścią, a nie dziełem historycznym. Występujące w niej postacie zrodziły się w wyobraźni autora, który nie nawiązuje do żadnych osób ani przedsiębiorstw, jakie kiedykolwiek działały w Hongkongu.

KSIĘGA PIERWSZA

Dirk Struan wspiął się na pokład rufowy okrętu flagowego „Zemsta” i skierował do schodni. Siedemdziesięcioczerodziałowy liniowiec rzucił kotwicę w odległości pół mili od wyspy. Wokoło kotwiczyły pozostałe okręty wojenne angielskiej floty i transportowce brytyjskiego korpusu ekspedycyjnego oraz statki handlowe i kupieckie klipry do przewożenia opium dla Chin.

Tego dnia – w czwartek 26 stycznia 1841 roku – świt wstał szary i zimny.

Krocząc po głównym pokładzie, Struan spojrzał na brzeg wyspy i ogarnęło go podniecenie. Wojna z Chinami potoczyła się zgodnie z jego przewidywaniami, kończąc się zwycięstwem. Tej wyspy, stanowiącej wojenny łup, pożył od dwudziestu lat. Teraz wreszcie miał zejść na brzeg i być świadkiem oficjalnej ceremonii objęcia jej w posiadanie przez Brytyjczyków, na własne oczy widzieć, jak ta chińska wysepka staje się perłą w koronie Imperium Brytyjskiego za miłościwego panowania Jej Wysokości Królowej Wiktorii.

Wysepką tą był Hongkong. Skalisty skrawek pagórkowatego gruntu o powierzchni trzydziestu mil kwadratowych leżący po północnej stronie ujścia Wielkiej Rzeki Perłowej w południowych Chinach, tysiąc jardów od stałego lądu. Niegościnnie. Nieurodzajny. Niezamieszkanym, jeśli nie liczyć malutkiej wioski rybackiej na południowym brzegu wyspy. Znajdujący się na samym środku drogi, którą co roku przewalały się potworne sztormy znad Pacyfiku. Nieprzydatny dla mandaryna – tytuł ten nosili wszyscy cesarscy urzędnicy – w którego prowincji leżał.

Ale Hongkong miał największą na świecie zatokę morską. A dla Struana stanowił punkt oparcia. Stąd jednym skokiem mógł się znaleźć w Chinach.

– Wartownik! – zawołał oficer wachtowy do ubranego w szkarłatną bluzę żołnierza piechoty morskiej. – Barkas pana Struana do furty śródokrećcia!

– Rozkaz! – odparł żołnierz i powtórzył polecenie, wychylając się przez burłę.

– W tej chwili, panie Struan – zapewnił oficer, ukrywając lęk, jaki w nim budził ten książę handlu, będący legendą mórz chińskich.

– Nie ma pośpiechu, chłopie – odrzekł Struan.

Ten czterdziestotrzyletni rudowłosy olbrzym o szmaragdowozielonych oczach miał twarz wychłostaną przez setki burz i sztormów. Jego granatowy surdut zdobiły srebrne guziki, a obcisłe białe spodnie były

wetknięte niedbale w długie żeglarskie buty za kolana. Jego broń stanowiły jak zwykle noże: jeden schowany w faldzie surduta na plecach, drugi w prawym bucie.

– Miły dzionek – dodał.

– Tak, proszę pana.

Struan zszedł po trapie, przedostał się na dziób barkasu i uśmiechnął się do młodszego od siebie przyrodniego brata Robba, który siedział pośrodku łodzi.

– Jesteśmy spóźnieni – rzekł z uśmiechem Robb.

– Owszem. Jego ekscelencja i admirał mieli wiele do powiedzenia – odparł Struan. Przez chwilę przyglądał się wyspie, a potem dał znak bosmanowi. – Odbijamy. Do brzegu, panie McKay!

– Tak jest!

– Nareszcie, co, Tai-panie? – zagadnął Robb.

– Tak – odparł Struan.

„Tai-pan” znaczyło po chińsku „wszechpotężny władca”. W spółce handlowej, wojsku, flocie, narodzie nazywano tak tylko jednego człowieka: tego, który faktycznie dzierżył władzę.

W firmie Noble House – Wspaniały Dom Handlowy – tym człowiekiem był Struan.

Rozdział pierwszy

– Ażeby ją zaraza, tę zapowietrzoną wyspę! – zaklął Brock, rozglądając się wokół po plaży i zadzierając wzrok na skaliste wzniesienia.
– Chiny u naszych stóp, a bierzemy tylko tę jałową, zasraną skałę.

Stał na podwodziu wraz z dwoma innymi kupcami. Rozproszeni wokół kupcy i oficerowie korpusu ekspedycyjnego potworzyli małe grupki. Wszyscy czekali na oficera Królewskiej Marynarki Wojennej, który miał rozpocząć ceremonię objęcia wyspy w posiadanie. Przy maszcie flagowym trzymało wartę honorową, stojąc w dwóch równych szeregach, dwudziestu żołnierzy piechoty morskiej, a ich szkarłatne mundury tworzyły na tle otoczenia zaskakującą barwną plamę. Nie opodal nich stali zbici w bezładne gromadki marynarze, którzy właśnie przed chwilą z wielkim trudem umocowali maszt flagowy w kamiennym gruncie.

– Mieliśmy podnieść flagę o ośmiu szklankach – wychrypiał ze zniecierpliwieniem Brock. – Godzinę temu. Po ki diabeł taka zwłoka?

– To zły dżos* przeklinać we wtorek, panie Brock – upomniał go Jeff Cooper, chudy bostończyk z haczykowatym nosem, w czarnym surducie i filcowym cylindrze zawadiacko przekrzywionym na bakier.
– Bardzo zły!

Krępy i czerstwy Wilf Tillman, też Amerykanin, ale rodem z Alabamy, zesztyniał, wyczuwając w nosowym głosie swojego młodszego współnika skrywaną uszczypliwość.

– Powiem bez ogródek, panowie: zły dżos to ta wyspa, mikra, jakby mucha nasrała! – odrzekł Brock.

Chińskie słowo dżos oznaczało zarówno szczęśliwą gwiazdę, jak i fatum, Boga, a zarazem diabła.

– Oby nie, panie Brock – powiedział Tillman. – Dżos dobry czy zły – w każdym razie od tej wyspy zależy przyszłość naszego handlu z Chinami.

Brock spojrzał na niego z góry.

– Hongkong nie ma przyszłości – odparł. – Dobrze pan wiesz, na psa urok, że nam trza otwartych portów w Chinach, na lądzie!

* Dżos – zniekształcone portugalskie *deos* (lub łac. *deus*) – bóg (przyp. tłum.).

– Nie ma lepszej zatoki na tych wodach – wtrącił Cooper. – Będziemy mieli gdzie konserwować i naprawiać wszystkie nasze statki. Będziemy mieli gdzie pobudować sobie domy i składy. A w dodatku narzeczcie uniezależnimy się od Chińczyków.

– Kolonia powinna mieć ziemię orną i chłopów do jej uprawiania, panie Cooper. No i być dochodowa – odparł mu niecierpliwie Brock. – Obszedłem całą wyspę i pan też. Nic się tu nie urodzi. Nie ma tu ani pól, ani strumieni, ani pastwisk. A więc także samo ani mięsa, ani gruli. Wszystko trza by sprowadzać statkami. Pomyślcie tylko o kosztach! Nawet z połowami ryb będzie krewa! A kto będzie utrzymywał Hongkong, co?! My i nasz handel, psiamać!

– O, a więc o takiej kolonii pan myśli, panie Brock? – spytał Cooper. – Wydawało mi się, że Imperium Brytyjskie – po tych słowach splunął zrecznie pod wiatr – ma już takich pod dostatkiem.

Brock zrobił ruch, jakby chciał sięgnąć po nóż.

– Plujesz pan, żeby przeczyścić gardło czy też może na Imperium Brytyjskie? – spytał.

Potężny jednooki i brodaty Tyler Brock miał bez mała pięćdziesiątkę i zaczynał już siwieć. Był twardy i niespożyty jak żelazo, którym zmuszony był handlować w młodych latach w Liverpoolu, mocny i niebezpieczny jak bojowy statek handlowy, na który uciekł; z czasem posiadał, jako głowa firmy Brock i Synowie, wiele mu podobnych. Ubrany był bogato, a nóż u jego pasa zdobiły drogie kamienie.

– Chłodno dziś, panie Brock – wtrącił szybko Tillman, rozniewany w duchu na młodszego wspólnika za jego długi język. Z Brockiem lepiej się było nie drażnić, nie mogli sobie jeszcze pozwolić względem niego na otwartą wrogość. – I wiatr taki zimny, no nie, Jeff?

Cooper skinął niedbale głową, nie odrywając spojrzenia od Brocka. Nie miał noża, lecz za to nosił w kieszeni ciężką króciwą. Dorównywał Anglikowi wzrostem, choć był od niego szczuplejszy, i wcale się go nie bał.

– Coś panu powiem, panie Cooper – rzekł Brock. – Radzę panu nie spluwać po słowach „Imperium Brytyjskie”. Bo znajdują się tacy, co nie puszcza tego panu płazem.

– Dzięki, panie Brock, zapamiętam to sobie – odparł niezmieszany Cooper. – Ja też mam dla pana dobrą radę: przeklinać we wtorek to zły dzos.

Brock powściągnął złość. Pewien był, że kiedyś zetrze w proch spółkę handlową Cooper-Tillman, największą spośród amerykańskich. Ale w tej chwili potrzebował ich jako sprzymierzeńców w walce przeciwko Dirkowi i Robbowi Struanom. Przeklął dzos. Dzos bowiem

uczynił firmę Struan i Spółka największym przedsiębiorstwem handlowym w Azji, tak potężnym i bogatym, że inni kupcy nazywali ją z podziwu i zazdrości Noble House – Wspaniałym Domem Handlowym, wspaniałym nie tylko dlatego, że przodował pod względem bogactwa, szerokiego gestu, obrotów handlowych, liczby kliprów, lecz przede wszystkim dlatego, że Dirk Struan był Tai-panem, Tai-panem przez duże „t” pośród wszystkich tai-panów w Azji. Natomiast jemu, Brockowi, przed siedemnastu laty, kiedy Struan założył swoje imperium, dżos zabrał oko.

Zdarzyło się to nie opodal wyspy Czuszan, leżącej tuż na południe od ogromnego portu Szanghaj, w pobliżu ujścia Wielkiej Rzeki Jangcy. Udało mu się przedrzeć z dużym ładunkiem opium przez monsun i zostawić płynącego również z opium Struana o kilka dni w tyle. Dotarł do Czuszan jako pierwszy, sprzedał swój ładunek i zawrócił, ciesząc się na myśl, że Struan będzie musiał teraz popłynąć dalej na północ i podjąć ryzyko handlu na nieznanym wybrzeżu. Sam pożeglował szybko na południe, do domu w Makau, z kuframi pękającymi od srebra, pod pełnymi żaglami, z wiatrem wiejącym od rufy. I wówczas na morzach chińskich rozpuściła się nagle burza. Chińczycy nazywali takie burze tai-fung – Wszechpotężnymi Wichrami. Zamorscy kupcy mówili na nie „tajfuny”. Były one piekłem na ziemi.

Tajfun ten bezlitośnie sponiewierał statek Brocka, którego przygwoździły do pokładu walące się drzewca i maszty. Kiedy leżał bezradny, zdzielił go jak cepem porwany przez wicher fał. Załoga oswobodziła go, ale przedtem niestety zerwana zakończona szeklą lina wyłupiła mu lewe oko. Ponieważ przechylonemu statkowi groziło zatonięcie, Brock najpierw pomógł odciąć takielunek i drzewca, dzięki czemu kliper jakimś cudem odzyskał równowagę. Dopiero wtedy zalał krwawiący oczodół koniakiem; do tej pory pamiętał ten ból.

Przypomniało mu się też, jak dowlókł się do portu w długi czas po uznaniu go za straconego, a z jego pięknego trójmasztowego klipra pozostał zaledwie pokiereszowany i popękany kadłub, bez masztów, dział i takielunku. A zanim uzupełnił olinowanie, drzewca, maszty, działa, proch, kule i załogę oraz kupił następną partię opium, cały zysk z tej wyprawy przepadł.

W ten sam tajfun wpadł również Struan płynący na małej lorszy – statku z chińskim kadłubem i angielskim ożaglowaniem, używanym przy pięknej pogodzie do przybrzeżnego szmuglu. Ale Struan jak zwykle wyszedł z burzy bez szwanku, by potem w eleganckim stroju i z kpiną wyzierającą z dziwnych zielonych oczu powitać go w portowym doku.

Niech szlag trafi Dirka i jego dżos, pomyślał Brock. To dżos dopomógł mu rozmnożyć jedną śmierzdzącą lorszę we flotyllę kliprów i setki lorsz, w składach towarów i góry srebra. W przeklęty Noble House! To dżos zepchnął firmę Brock i Synowie na podrzędne miejsce. Podrzędne miejsce! To właśnie dżos zapewniał Struanowi przez te wszystkie lata posłuch u naszego przeklętego bezwolnego pełnomocnika, Jego Zastranej Mości Longstaffa. A teraz do spółki sprzedali nas!

– Do kata z Hongkongiem, do kata ze Struanem! – zaklął.

– Gdyby nie plan Struana, nie wygralibyście tak łatwo tej wojny – rzekł Cooper.

Wojna zaczęła się przed dwoma laty w Kantonie, kiedy cesarz chiński postanowił poskromić Europejczyków i próbował zlikwidować przemyt opium, stanowiący ostoję brytyjskiego handlu. Namiestnik cesarski Ling otoczył oddziałami wojska kolonię obcokrajowców w Kantonie, domagając się jako okupu za życie bezbronnych angielskich kupców wydania mu co do skrzynki całego opium znajdującego się w Azji. W końcu przekazano mu dwadzieścia tysięcy skrzynek opium, które zostały zniszczone, a Anglikom pozwolono schronić się w Makau. Brytyjczycy nie mogli jednak przejść obojętnie wobec faktu mieszania się do ich handlu ani gróźb wobec rodaków. Pół roku temu przyplłynął na Daleki Wschód Brytyjski Korpus Ekspedycyjny, który nominalnie przeszedł pod rozkazy Longstaffa, Naczelnego Inspektora do Spraw Handlu.

Ale to właśnie Struan obmyślił inteligentny plan, aby zamiast do Kantonu, gdzie zaczęła się cała afery, wyprowadzić korpus ekspedycyjny na północ do Czuszanu. Wyspa ta da się łatwo wziąć bez strat, argumentował, bo Chińczycy są nieprzygotowani, a poza tym bezradni wobec nowoczesnej europejskiej armii i floty. Zostawiwszy niewielki oddział okupacyjny na Czusanie i kilka okrętów do blokady rzeki Jangcy, korpus ekspedycyjny mógł popłynąć na północ do ujścia rzeki Pei Ho i zagrozić Pekinowi, stolicy Chin leżącej zaledwie sto mil w dół rzeki. Struan wiedział, że tylko takie bezpośrednie zagrożenie zmusi cesarza do natychmiastowej prośby o pokój. Był to wyśmienity pomysł i sprawdził się wspaniale. Korpus przybył na Daleki Wschód w czerwcu ubiegłego roku. W lipcu zdobył Czuszan. W sierpniu zakończył u ujścia rzeki Pei Ho. Po dwóch tygodniach cesarz przysłał swego pełnomocnika na pertraktacje pokojowe – po raz pierwszy w dziejach chiński władca uznał istnienie jednego z europejskich narodów. I tak zakończyła się ta wojna, z której obie strony wyszły prawie bez strat.

– Longstaff bardzo mądrze zrobił, że poparł ten plan – dodał Cooper.

– Każden kupiec wie, jak rzucić żółtków na kolana – odparł gburowato Brock. Odsunął cylinder z czoła i rozluźnił opaskę na oku. – Ale czemu to Longstaff i Struan poszli na to, żeby ugadzać się znowuż w Kantonie, a? Każden dureń wie, że dla żółtków ugadzanie się to gra na zwłokę. Powinniśmy zostać na północy, przy Pei Ho, aż do podpisania układu. Ale nie, zawróciliśmy tu flotę i pół roku czekamy z założonymi rękami, aż te antychrysty przyłożą pióro do papieru. – Splunął. – To głupota, skończona głupota. Tyle czasu i pieniędzy zmarnowane na tę zatraconą skałę. Powinniśmy zatrzymać Czuszan. To dopiero wyspa, którą warto mieć! – Wyspa Czuszan, o wymiarach dziesięć mil na dwadzieścia, miała ziemię żyzną i urodzajną, a poza tym dobry port i duże miasto Tinghai. – Nie dusi się tam człowiek, ma czym oddychać. Tak jest, wystarczyłyby tam trzy, cztery nasze fregaty, żeby raz-dwa zablokować rzekę Jangcy. A kto włada tą rzeką, ma w ręku stolicę Chin. Tam właśnie powinniśmy osiąść, psiamać!

– Czuszan jest nadal w naszych rękach, panie Brock.

– Tak. Ale nie ma jej zapisanej w tym zasranym traktacie pokojowym, więc nie będzie nasza.

Brock zatupał nogami, bo lodowaty wiatr wzmógł się.

– Może powinien pan o tym wspomnieć Longstaffowi – podsunął Cooper. – On chętnie słucha rad.

– Tylko nie moich! Jak pan świetnie wiesz. Głowę dam, że kiedy dowiedzą się o tym w parlamencie, gorzko pożałuje.

Cooper zapalił krótkie cygaro.

– Skłonny jestem przyznać panu rację – rzekł. – To zdumiewający dokument, panie Brock. Jak na nasze czasy, kiedy wszystkie mocarstwa europejskie zagarniają ziemię i władzę gdzie się da.

– A Stany Zjednoczone to niby nie? – odparł Brock, marszcząc twarz. – A Indianie? A zakup od Napoleona Luizjany? A hiszpańska Floryda? Łypiecie chciwym okiem na Meksyk i rosyjską Alaskę. Z ostatnio przysłanej poczty wynika, że chcecie nawet ukraść Kanadę. Ha?

– Kanada nie jest angielska, tylko amerykańska. Nie będziemy o nią walczyć, dołączy do nas z własnej woli – odparł Cooper, maskując niepokój. Skubnął nerwowo faworyty i otulił się szczelniej surdudem, osłaniając przed zacinającym wiatrem.

Wiedział, że gdyby w tej chwili wybuchła wojna z Imperium Brytyjskim, zrujnowałaby kraj, a wraz z nim spółkę Cooper-Tillman. Do diabła z wojnami! Ale i tak był pewien, że jeżeli nie dojdzie do porozumienia, Stany stoczą wojnę o Meksyk i Kanadę. Tak jak Wielka Brytania z konieczności wszczęła wojnę z Chinami.

– Wojny nie będzie – powiedział Tillman, starając się dyplomatycznie powstrzymać współnika. Westchnął, tęskniąc do Alabamy. Tam człowiek może być dżentelmenem, pomyślał. Nie ma na co dzień do czynienia z tymi przekłętymi Anglikami ani z takim diabłem wcielonym jak Struan, ani nawet z takim zapalczywym młodzikiem jak Cooper, który stoi na czele naszej spółki i uważa Boston za pępek świata. – A tutejsza wojna tak czy owak dobiegła końca.

– Zapamiętaj pan moje słowa, panie Tillman – powiedział Brock. – Ten zaszary traktat nie przyniesie nic dobrego ani nam, ani im. Musimy utrzymać Czuszan i otwarte porty na lądzie. Za kilka tygodni znowuż wybuchnie wojna. W czerwcu, przy sprzyjającym wietrze i pogodzie, nasza flota znów popłynie do Pei Ho. A jak znowu będziemy prowadzić wojnę, to jak zdobędziemy tegoroczną herbatę i jedwab, ja się pytam? W zeszłym roku prawie nie handlowaliśmy z powodu wojny, a w zaprzyszłym nie handlowaliśmy w ogóle, na dobitkę ukradli nam całe opium. Mnie jednemu zabrali osiem tysięcy skrzynek. Kosztowało mnie to dwa miliony liangów* srebra. Gotówką!

– Te pieniądze nie przepadły – sprostował Tillman. – Longstaff polecił nam oddać opium. Jako okup za nasze życie. Wystawił nam za to weksle angielskiego rządu. A w traktacie z Chinami jest zapis – o wypłaceniu za nie sześciu milionów liangów srebra.

Brock roześmiał się chrapliwie.

– Myślisz pan, że parlament uhonoruje weksle Longstaffa? – spytał. – Akurat! Niechby tylko jakiś rząd zażądał forsy za opium, w tejsze chwili zostałyby obalony. A co do tych sześciu milionów to pójda na pokrycie kosztów tej wojny. Znam parlament lepiej niż pan. Radzę obu wam pożegnać się z waszym pół milionem liangów srebra. Tak więc jeżeli w tym roku znowuż będziemy wojować, to znów se nie pohandlujemy. A jak nie pohandlujemy w tym roku, to zbankrutujem – wy, ja, wszyscy, którzy handlują z Chinami. Nawet ten sakramencki Noble House.

Wyszarpnął z kieszonki zegarek. Uroczystość miała się rozpocząć przed godziną. Czas ucieka, pomyślał. Tak, ale dalibóg, nie dla Brocka i Synów! Dirkowi dobry dżos szczęścił przez siedemnaście lat, pora, żeby to się odmieniło!

Rozanielił się na myśl o swoim drugim synu, Morganie, który umiejętnie i bez skrupułów prowadził ich rodzinne interesy w Londynie. Ciekaw był, czy udało mu się podkopać wpływy Struana w parlamencie i kołach finansowych. Zniszczymy cię, Dirk, poprzysiągł w duchu, a wraz z tobą Hongkong.

* Liang – (inaczej tael) – chińska jednostka wagi, ok. 37,8 g (przyp. tłum.).

– Ki diabeł tak zwlekają? – zawołał, podchodząc szybko do oficera marynarki wojennej, który długimi krokami przechadzał się przy oddziale piechoty morskiej.

– Co cię naszło, Jeff? Przecież wiesz, że ma rację co do Hongkongu – rzekł Tillman. – Zgłupiałeś chyba, żeby go tak drażnić.

Cooper uśmiechnął się bez przekonania.

– Brock jest diabelnie pewny siebie – odparł. – Nie mogłem się powstrzymać.

– Jeżeli się nie myli co do tego pół miliona liangów, jesteśmy zrujnowani.

– Tak, ale Struan straci dziesięć razy tyle, jeżeli nam nie zapłacą. Nie bój się, zapłacą mu. A jak jemu, to i nam. – Cooper posłał spojrzenie w kierunku Brocka. – Myślisz, że wie o naszej umowie ze Struanem?

Tillman wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Ale Brock ma rację co do traktatu: jest głupi. I będzie nas kosztował kawałek grosza. Przez ostatnie trzy miesiące spółka Cooper-Tillman pośredniczyła potajemnie w transakcjach handlowych z Noble House.

Angielskie okręty utrzymywały blokadę Kantonu i Rzeki Perłowej, a angielskich kupców obowiązywał zakaz handlu. Idąc za podszeptem Struana, Longstaff nałożył jako jeszcze jeden środek wymuszenia traktatu pokojowego embargo na handel z Chińczykami, wiedząc, że magazyny w Kantonie pękają od herbaty i jedwabiu. Ale ponieważ Ameryka nie wypowiedziała Chinom wojny, amerykańskie statki mogły swobodnie i bez przeszkód przepływać przez angielską blokadę. Tak więc Cooper i Tillman zakupili cztery miliony funtów herbaty od najbogatszego z kupców chińskich, Czen-tse Żin Ana – zwanego inaczej Żin-cia – i przewieźli ją do Manili, rzekomo dla kupców hiszpańskich. Tamtejszy urzędnik hiszpański za pokazną łapówkę wydał im niezbędne zezwolenia na import i eksport, po czym herbatę przeładowano – nie płacąc cła – na klipry Struana, te zaś wyruszyły pośpiesznie do Anglii. Żin-cia otrzymał zapłatę w postaci transportu opium, który Struan dostarczył potajemnie statkiem w umówione miejsce na wybrzeżu.

Doskonały plan, pomyślał Cooper. Wszyscy się wzbogacili i każdy dostał to, co chciał. Gdyby jednak to nasze statki mogły dostarczyć tę herbatę bezpośrednio do Anglii, zbilibyśmy majątek. Przeklął w duchu angielską ustawę o żegludze zakazującą cudzoziemskim statkom przywozu towarów do angielskich portów. A niech ich diabli, cały świat do nich należy!

– Jeff!

Cooper podążył wzrokiem za spojrzeniem współnika. Przez chwilę nie bardzo wiedział, na jaki szczegół w zatłoczonej zatoce pragnie zwrócić jego uwagę Tillman. I nagle spostrzegł odbijający od okrętu flagowego barkas, a w nim wysokiego rudowłosego Szkota, który dzierżył w ręku władzę pozwalającą mu nakłaniać parlament angielski do podejmowania decyzji po jego myśli i pchnąć do wojny najpotężniejszy naród świata.

– Nie można chyba liczyć na to, że Struan utonie – powiedział Tillman.

Cooper roześmiał się.

– Mylisz się co do niego, Wilf – odrzekł. – Zresztą morze i tak się nie ośmieli o niego upomnieć.

– Nigdy nic nie wiadomo, Jeff. Ma na to dość czasu. Jak Bóg na niebie.

Dirk Struan stał na dziobie barkasu tańczącego na kapryśnych falach. Był wprawdzie spóźniony na uroczystość, ale nie popędzał wioślarzy. Wiedział, że bez niego się ona nie rozpocznie.

Barkas znajdował się trzysta jardów od brzegu i okrzyk bosmana „tak trzymać!” współbrzmiał przyjemnie z szelestem rześkiego północno-wschodniego monsunu. Hen wysoko w górze wiatr przybierał na sile i przeganiał znad lądu kłębiaste obłoki, pędząc je ponad wyspą i dalej, nad rozpościerający się za nią ocean.

W zatoce panował ścis, a wśród najrozmaitszych statków handlowych tylko kilka należało do Amerykanów i Portugalczyków, reszta do Anglików. Przed wojną opiumową statki kotwiczyły w Makau, malutkiej kolonii portugalskiej usadowionej na cyplu stałego lądu, czterdzieści mil na południowy zachód, po przeciwległej stronie wielkiego rozlewiska u ujścia Rzeki Perłowej. A ponadto także u brzegów wyspy Whampoa, trzynaście mil na południe od Kantonu, do którego na mocy chińskiego rozporządzenia nie mógł podpłynąć bliżej żaden europejski statek. Cały handel z Europejczykami został cesarskim dekretem ograniczony do tego miasta. Krążyły pogłoski, że w obrębie jego murów mieszka milion Chińczyków. Ale nikt nie miał co do tego pewności, bo na ulicach Kantonu nie postąpiła jeszcze noga żadnego Europejczyka.

Z dawien dawna obowiązywały w Chinach surowe prawa zamykające ten kraj przed Europejczykami. Ich nieugięte stosowanie, pozbawienie Europejczyków swobody poruszania się i handlu, doprowadziło do wojny.

Kiedy barkas przepływał obok statku handlowego, kilkoro dzieci na jego pokładzie zamachało rączkami do Struana, który odwzajemnił

im się tym samym gestem. Pomyślał, że działwie dobrze zrobią nareszcie własne domy na własnej ziemi. Wraz z wybuchem wojny wszyscy obywatele brytyjscy – około stu pięćdziesięciu mężczyzn, sześćdziesiąt kobiet i osiemdziesięcioro dzieci – zostali dla bezpieczeństwa ewakuowani na statki. Niektóre rodziny przebywały na statkach od blisko roku.

Wokół statków handlowych stały okręty wojenne Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego: siedemdziesięcioczworo-, czterdziestoczworo- i dwudziestodwudziałowe liniowce, brygi i fregaty, stanowiące drobną część marynarki wojennej, najpotężniejszej w dziejach, a do tego dziesiątki transportowców z czterema tysiącami angielskich i hinduskich żołnierzy na pokładach, częścią najliczniejszej armii na świecie.

A pośród tych wszystkich jednostek kotwiczyły piękne klipry z ukośnymi masztami – najszybsze statki, jakie kiedykolwiek zbudowano.

Przyglądając się wyspie i królującej nad nią górze, która wyrastała niemal pionowo z morza, wznosząc się na wysokość tysiąca ośmiuset stóp, Struan poczuł, jak ogarnia go i przenika podniecenie.

Znał tę wyspę lepiej od innych, choć do tej pory ani razu nie zszedł na jej brzeg. Poprzysiągł sobie, że nie zrobi tego dopóty, dopóki nie stanie się ona własnością Brytyjczyków. Dogadzała mu taka władcza postawa. Nie przeszkodziło mu to wszakże posłać na rekonesans kilku swoich kapitanów i młodszego brata, Robba. Znał każdy wąwóz i wzniesienie, wszystkie skały i rafy, wiedział też, gdzie zbuduje skład, swoją siedzibę i którąś pobiegnie drogą.

Obrócił się, żeby spojrzeć na swój dwudziestodwudziałowy kliper „China Cloud” – „Chińska Chmura”. Wszystkie klipry firmy Struan i Spółka miały w nazwie wyraz „Cloud”, na cześć jego zmarłej przed laty matki, z domu McCloud. Marynarze malowali i czyścili i tak już lśniący statek. Sprawdzano działa i takielunek. Na rufie łopotała dumnie bandera brytyjska, a na marsie bezanmasztu flaga jego firmy.

Flaga Noble House przedstawiała królewskiego czerwonego lwa Szkocji splecionego z cesarskim zielonym smokiem Chin. Powiewała ona na dwudziestu uzbrojonych kliprach rozproszonych po oceanach świata i na setce wiatroskrzydłych uzbrojonych lorsz, które dowoziły przemycane opium do wybrzeży Chin. Powiewała też na trzech dużych statkach-bazach, gdzie przechowywano opium, przerobionych do tego celu handlowcach, stojących obecnie w zatoce wyspy Hongkong. Powiewała również na „Spokojnej Chmurze”, ogromnym, zakotwiczonym na stałe statku będącym kwaterą główną przedsiębiorstwa i mieszczą-

cym komory do przechowywania srebra, biura, luksusowe apartamenty i jadalnie.

Urodziwa jesteś, moja flago – pomyślał z dumą Struan.

Po raz pierwszy wciągnięto ją na maszt na pirackiej, lorszy, którą zdobył przemocą, wraz z ładunkiem opium. Piraci i korsarze byli plagą tych wybrzeży, a za każdego schwytanego Chińczycy i Portugalczycy nie skąpili srebra. Ilekroć wiatry nie pozwalały na przemysł opium, lub nie miał go na sprzedaż, wówczas uganiał się po chińskich morzach za piratami. Zdobyte w ten sposób srebro inwestował w opium.

Przeklęte opium! – pomyślał. Wiedział jednak, że jest związany na śmierć i życie z tym narkotykiem, bez którego upadłyby zarówno Noble House, jak i Imperium Brytyjskie.

Aby wyjaśnić powód tego stanu, należało sięgnąć wstecz, aż do roku 1699, kiedy to pierwszy angielski statek zawinął w celach pokojowych do Chin i przywiózł stamtąd jedwabie, a także – po raz pierwszy – niezrównane ziele zwane ziele „te” – herbatą, której Chiny jako jedyne na świecie miały w bród dzięki taniej uprawie. Cesarz chiński kazał płacić sobie wyłącznie srebrem. I nic się od tamtej pory w tym względzie nie zmieniło.

Po pół wieku z okładem herbatę pito już powszechnie w Europie, zwłaszcza w Anglii, w światowej potędze handlowej. Nie minęło lat siedemdziesiąt, a stała się ona głównym źródłem dochodów podatkowych brytyjskiego rządu. Przed upływem stulecia potok bogactw płynących nieprzerwanie do Chin niebezpiecznie uszczuplił angielski skarb, a niezrównoważona wymiana handlowa z Chinami zatrzęsała całym krajem.

W ciągu tego stulecia Brytyjska Spółka Wschodnioindyjska, olbrzymia, na pół prywatna, na pół państwowa firma, która na mocy uchwały parlamentu dzierżyła całkowity monopol na handel z Indiami i Azją, z rosnącą desperacją proponowała Chińczykom zamiast srebra co tylko się dało: wyroby bawełniane, warsztaty tkackie, a nawet broń i okręty. Jednakże cesarze wyniosłe odmawiali. Pogardzali „barbarzyńcami”, jak nieodmiennie nazywali cudzoziemców, i uważając swój kraj za samowystarczalny, patrzyli na wszystkie narody świata z góry, traktując je jako coś gorszego.

I wówczas, trzydzieści lat temu, angielski statek handlowy „Wędrowną Gwiazdą” wpłynął na Rzekę Perłową i rzucił kotwicę nieopodal wyspy Whampoa. Wiózł w tajemnicy ładunek opium, którego obfitość zapewniały tanie uprawy w brytyjskim Bengalu. Wprawdzie opium było używane w Chinach od wieków – choć tylko przez bogaczy i mieszkańców prowincji Jünnan, gdzie również bujnie rosły maki – ale

stanowiło kontrabandę. Spółka Wschodnioindyjska w sekrecie upoważniła kapitana „Wędrownej Gwiazdy” do zaferowania Chińczykom opium. Jednak wyłącznie za srebro. Chińska gildia kupiecka, która dekretem cesarskim otrzymała monopol na handel z Zachodem, zakupiła cały ładunek i sprzedała go skrycie z wielkim zyskiem. Kapitan „Wędrownej Gwiazdy” dyskretnie przekazał uzyskane srebro przedstawicielom Spółki w Kantonie, odebrał swój zysk w londyńskich wekslach bankowych i pośpieszył z powrotem do Kalkuty po następną partię opium.

„Wędrowna Gwiazda” wryła się Struanowi w pamięć. Służył na niej jako chłopiec do posług. To właśnie na tym statku poznał życie – i zobaczył Azję. A także poprzysiągł sobie, że zniszczy Tylera Brocka, który w owym czasie pełnił na „Wędrownej Gwieździe” funkcję młodszego oficera. Struan miał wtedy lat dwanaście, a Brock osiemnaście. Był bardzo silny. Brock zapalał do niego nienawiścią od pierwszego wejrzenia i z upodobaniem wytykał mu błędy, obcinał racje żywnościowe, wyznaczał dodatkowe wachty, wysyłał na maszty w niepogodę, dręczył go i poniżał. Najmniejsze uchybienie Struana, a kazał go przywiązywać do takielunku i chłostać dziewięciornemnym kańczugiem.

Struan służył na „Wędrownej Gwieździe” przez dwa lata. Którejś nocy statek wpadł w cieśninie Malakka na rafę i zatonął. Struan dopłynął wpływ do brzegu i dotarł do Singapuru. Później dowiedział się, że Brock również ocalał, co go ogromnie ucieszyło.

Pragnął zemsty, ale takiej, którą by wymierzył po swojemu i w dogodnym czasie.

Zaciągnął się na inny statek. W owym czasie Spółka Wschodnioindyjska wydawała już po cichu wiele pozwoleń upatrzonym kapitanom posiadającym własne statki na handel bengalskim opium, które sprzedawała im jako monopolista po korzystnych cenach. Zaczęła ciągnąć wielkie zyski i zdobywać ogromne ilości srebrnego kruszcu. Chińska gildia kupiecka i mandaryni patrzyli przez palce na ten nielegalny handel, bo i oni czerpali z niego olbrzymie zyski. A zyski te, z racji swego utajenia, nie były im wydzierane przez cesarza.

Opium stało się podporą handlu. Spółka Wschodnioindyjska w krótkim czasie zmonopolizowała jego dostawy na całym świecie, z wyjątkiem prowincji Jünnan i Imperium Otomańskiego. Przed upływem dwudziestu lat srebro uzyskane z przemytu opium zrównało się ilościowo ze srebrem należnym za herbatę i jedwabie.

Osiągnięto wreszcie równowagę handlową. A potem doszło do nadwyżek, ponieważ klientów chińskich było dwudziestokroć więcej niż

tych z Zachodu, co zapoczątkowało odpływ zawrotnych ilości srebra z Chin, przekraczających możliwości finansowe nawet tego kraju. Ażeby temu przeciwdziałać, Spółka zaproponowała inne towary. Jednak cesarz pozostał nieugięty: srebro za herbatę.

Już jako dwudziestolatek w randze kapitana Struan przewoził opium własnym statkiem, mając za głównego rywala Brocka. Współzawodniczyli ze sobą, nie przebierając w środkach. W ciągu sześciu lat w dwóch zdominowali handel tym towarem.

Przemysłowcy opium – Anglicy, Szkoci i paru Amerykanów – zyskali miano indywidualnych kupców chińskich. Stanowili przedsiębiorczą grupę nieustraszonych, zahartowanych kapitanów, a zarazem właścicieli statków, którzy jak gdyby nigdy nie wpływali swoimi małymi jednostkami na nieznane wody i narażali się na nieznane niebezpieczeństwa, traktując je jako chleb powszedni. Celem ich wypraw nie był rozbój, lecz spokojny, przynoszący zyski handel. Zdarzało się jednak, że musieli stawić czoło wzburzonemu morzu lub jakiemuś nieprzyjacielowi. Jeżeli któryś nie sprawił się dzielnie, ślad po nim ginął i wkrótce o nim zapominano.

Indywidualni kupcy szybko się zorientowali, że choć oni podejmują całe ryzyko, to lwia część zysków z handlu opium przypada Spółce. W dodatku wyłączono ich całkowicie z legalnego i wielce intratnego handlu herbatą i jedwabiem. Więc choć nadal zażarcie rywalizowali pomiędzy sobą, za namową Struana wspólnie wszczęli kampanię przeciwko Spółce, żeby przełamać jej monopol. Gdyby go nie było, kupcy mogliby wymieniać opium na srebro, srebro na herbatę, a po przywiezieniu jej do swojego kraju sprzedawać bezpośrednio na światowe rynki. Tym samym indywidualni kupcy chińscy przejęliby kontrolę nad światowym handlem herbatą, a ich zyski wzrosłyby niepomniernie.

Forum dla ich kampanii stał się angielski parlament. Przed dwustu laty obdarzył on Spółkę monopolem i tylko on mógł go cofnąć. Dlatego też kupcy, wdając się w bardzo ryzykowną grę, zaczęli kupować głosy, popierać członków parlamentu będących zwolennikami swobodnej konkurencji i nieskrępowanego handlu, pisać do gazet i członków rządu. Działali stanowczo, a wraz z bogactwem rosła też, ich potęga. Byli cierpliwi, wytrwali i nieugięci, jak tylko potrafią być ludzie, których życia nauczyło morze.

Spółka, której nie było śpieszno do utraty monopolu, wściekała się na buntowników. Jednakże nie mogła się obyć bez kupców indywidualnych dostarczających jej srebra na zakup herbaty, gdyż jej działalność opierała się na ogromnych dochodach ze sprzedaży bengalskiego opium. Dlatego w parlamencie zwalczała ich z umiarem. Parlament też

znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Publicznie potępiał handel opium, jednakże potrzebował wpływów z herbaty i Imperium Indyjskiego. Próbował dawać posłuch tak kupcom, jak i Spółce, nie zadowolając żadnej ze stron.

Wówczas Spółka postanowiła zrobić kozły ofiarne ze Struana i Brocka, swoich głównych przeciwników. Cofnęła im pozwolenia na handel opium i zrujnowała ich.

Brockowi został jeden statek, Struanowi żaden. Brock wszedł po cichu w spółkę z innym kupcem indywidualnym, nie przerywając kampanii w parlamencie. Natomiast Struan wraz ze swoją załogą napadł na piracką przystań leżącą na południe od Makau, zniszczył ją i wziął sobie najszybszą lorszę*. A potem zaczął potajemnie przewozić opium dla innych kupców, bez skrupułów zdobył kolejne statki pirackie i coraz bardziej się bogacił. Wspólnie z innymi kupcami indywidualnymi wdał się w jeszcze bardziej ryzykowną grę, zakupując coraz to nowe głosy poselskie, nieustannie się naprzykrzając, aż doszło do tego, że w parlamencie zaczęto głośno domagać się całkowitej likwidacji Spółki Wschodnioindyjskiej. Przed siedmiu laty parlament uchwalił ustawę o zniesieniu monopolu Spółki w Azji i zezwolił tam na swobodny handel. Zostawił jednakże Spółce wyłączne prawo handlu z brytyjskimi Indiami, a więc światowy monopol na opium. Parlament potępił sprzedaż opium. Spółka Wschodnioindyjska nie pragnęła nim handlować, a kupcy woleliby sprzedawać inny, choć równie dochodowy towar, jednakże wszyscy zainteresowani wiedzieli, że bez równowagi w transakcjach związanych z herbatą, srebrem i tym narkotykiem Imperium upadłoby. Tak oto wyglądała rzeczywistość światowego handlu.

W warunkach nieskrępowanej wymiany handlowej Struan i Brock stali się kupieckimi potentatami. Ich zbrojne flotylle rozrosły się, a rywalizacja zaostrzyła ich wzajemną wrogość.

Aby wypełnić polityczną próżnię, jaka powstała w Azji po zniesieniu władzy Spółki i ograniczeń handlu, rząd angielski dla ochrony swoich interesów mianował dyplomatę wielmożnego Williama Longstaffa Naczelnym Inspektorem Handlu na tym kontynencie. W interesie Korony Brytyjskiej leżał stały wzrost obrotów handlowych – źródło rosnących dochodów z podatków – oraz stałe niedopuszczanie innych potęg europejskich do handlu ze Wschodem. Longstaff odpowiadał za bezpieczeństwo angielskiego handlu i swoich rodaków, ale jego peł-

* Lorsza – trzymasztowy statek z europejskim kadłubem i chińskim ożaglowaniem (przyp. tłum.).

nomocnictwa były nieokreślone i nie miał on żadnej rzeczywistej władzy pozwalającej wcielić w życie jakikolwiek program działania.

Biedaczek Willie – pomyślał Struan bez złośliwości. – Przez te ostatnie osiem lat cierpliwie mu wszystko wyjaśniałem, a mimo to Jego Ekscelencja Naczelny Inspektor Handlu jest nadal ślepy jak szczeniak.

Spojrzał na brzeg, bo spoza gór wychyliło nagle słońce, oblewając promieniami zgromadzonych tam rywali, zarówno zaprzyjaźnionych z nim, jak i mu wrogich. Obrócił się do Robba.

– Jak uważasz, to komitet powitalny? – spytał z mocnym szkockim akcentem. Długie lata spędzone z dala od Szkocji nie zatarły doszczętnie jego wymowy.

Robb Struan roześmiał się i nacisnął filcowy kapelusz na czoło.

– Zdaje mi się, Dirk, że oni wszyscy liczą na to, że utoniemy – odparł. Był gładko ogolonym, ciemnowłosym trzydziestotrzylatkim z głęboko osadzonymi oczami, cienkim nosem i szerokimi faworytami. Z wyjątkiem aksamitnej zielonej marynarki, białej marszczonej koszuli i białego halsztuka ubrany był na czarno. Guziki na gorsie koszuli i przy mankietach miał z rubinów. – O mój Boże, czyżby to komandor Glessing? – spytał, patrząc na brzeg.

– Owszem – potwierdził Struan. – Uznałem, że dobrze będzie, jeżeli to właśnie on odczyta proklamację.

– A co powiedział na to Longstaff?

– „Jeżeli sądzi pan, że tak trzeba, to słowo daję, zgadzam się” – odparł Struan i uśmiechnął się. – Dalibóg, przebyliśmy szmat drogi.

– To dzięki tobie, Dirk. Ja tu przyjechałem na gotowe.

– Ty wszystkim kierujesz. Robb. Ja tylko wcielam to w życie.

– Tak, Tai-panie. Ty tylko wcielasz w życie – odparł Robb, dobrze wiedząc, że przyrodni brat jest Tai-panem firmy Struan i Spółka i że w Azji Dirk Struan jest Tai-panem przez duże „T”. – Piękny dzień na wciągnięcie flagi, co?

– Owszem.

Robb przyglądał się bratu, który znów obrócił się twarzą do brzegu. Stojąc na dziobie barkasu wydawał się taki wielki, większy niż te góry i jak one twardy i niezłomny. Pomyślał, że chciałby być taki jak on.

Wkrótce po przybyciu na Wschód Robb jeden jedyny raz wziął udział w przemyśle opium. Okropnie się przeraził, kiedy ich statek zaatakowali chińscy piraci. Do tej pory wspomnienie to napawało go wstydem, mimo zapewnień brata, który powiedział wtedy: „Nie szkodzi, braciszku. Chrzest bojowy nigdy nie jest przyjemny”. Ale on wiedział, że nie jest odważny i że żaden z niego wojownik. Służył swojemu przyrodniemu bratu na inne sposoby. Kupował herbatę, jedwab

i opium. Załatwiał pożyczki i pilnował srebra. Orientował się w coraz większych zawiłościach międzynarodowego handlu i finansów. Sprawował pieczę nad bratem, ich spółką i flotą, zapewniając im bezpieczeństwo. Sprzedawał herbatę w Anglii. Prowadził księgi rachunkowe i robił wszystko, co potrzeba, aby nowoczesna firma handlowa mogła funkcjonować. Tak, ale bez Dirka byłbyś zerem – przyznał w duchu.

Struan przyglądał się z uwagą zgromadzonym na brzegu. Zostało mu jeszcze do przepłynięcia ze dwieście jardów, ale widział już wyraźnie ludzkie twarze. Większość była zwrócona w stronę jego łodzi. Uśmiechnął się do siebie.

Tak, pomyślał. W tym dniu jakże brzemiennym w skutki nie brakuje tu nikogo.

Oficer marynarki wojennej komandor Glessing, który miał rozpocząć ceremonię wciągnięcia flagi, czekał cierpliwie. Ten dwudziesto-sześćioletni dowódca okrętu liniowego był synem wiceadmirała i Królewską Marynarkę Wojenną miał we krwi. Na wybrzeżu raptownie się rozjaśniło, a niebo nad horyzontem po wschodniej stronie przecinały powłóczyste chmury.

Sprawdzając siłę i kierunek wiatru, Glessing pomyślał, że za kilka dni zerwie się sztorm. Oderwał wzrok od Struana i odruchowo sprawdził, gdzie stoi jego okręt, dwudziestodwudziałowa fregata. Był to ogromnie doniosły dzień w jego życiu. Nieczęsto obejmowano w posiadanie w imieniu królowej nowe ziemie, a zaszczyt odczytania proklamacji, którego dostąpił, sprzyjał jego karierze. W tej flocie było wielu dowódców okrętów starszych od niego stopniem. Wiedział jednak, że wybrano go, ponieważ najdłużej pływał po tych wodach, a jego okręt „Syrena” bardzo czynnie uczestniczył w całej kampanii wojennej. Zresztą to wcale nie była kampania, pomyślał z pogardą. Raczej incydent, który mogliśmy rozstrzygnąć dwa lata temu, gdyby ten głupi Longstaff miał choć odrobinę charakteru. A już na pewno, gdyby pozwolono mu podpłynąć fregatą do bram Kantonu. Do diaska, zatopiłem całą flotę nędznych dżonek i droga była wolna. Mógłbym ostrzec Kanton z dział, schwycić tego pogańskiego czorta cesarskiego namiestnika Linga i powiesić go na foku rei!

Rozzłoszczony kopnął nogą w ziemię. Mniejsza o to – myślał – że poganie okradli nas z opium. Rozumiem chęć zlikwidowania szmuglu. Ale to zniewaga naszej bandery narodowej! Żeby jakieś pogańskie czorty żądały okupu za życie Anglików?

Longstaff powinien być pozwolić mi popłynąć niezwłocznie dalej. Ale nie! Potulnie wycofał się i ewakuował wszystkich na statki hand-

lowe, a mnie powstrzymał. Mnie, na miły Bóg, którym ochraniał całą flotę handlową! Żeby go pokreśliło! A razem z nim Struana, który wodzi go za nos!

Mimo wszystko i tak masz szczęście, że tu jesteś – powiedział sobie w duchu. – W tej chwili nigdzie indziej nie prowadzimy wojny. A przynajmniej na morzu. Reszta to po prostu incydenty: zwyczajne przejęcie pogańskich państweczek hinduskich – i pomyśleć, że oni tam czczą krowy, palą wdowy na stosach i biją pokłony bałwanom – no i wojny w Afganistanie. Poczuł przypływ dumy, że służy w największej flocie na świecie. Na szczęście urodził się Anglikiem!

Raptem spostrzegł zbliżającego się Brocka i odetchnął z ulgą, widząc, że zagadnął go niski trzydziestokilkuletni grubas z głową wciśniętą w ramiona i z wielkim brzuchem przelewającym się mu przez spodnie. Był to Morley Skinner, właściciel „Wschodnich Czasów”, najważniejszej angielskiej gazety na Dalekim Wschodzie. Glessing czytał każdy jej numer. Była dobrze redagowana. Dobra gazeta to skarb – pomyślał. – To ważne, żeby prowadzone kampanie zostały dobrze udokumentowane na chwałę Anglii. Ale Skinner był odrażającym osobnikiem. Tak jak i wszyscy pozostali. No, nie wszyscy. Arystoteles Quance nie był odrażający.

Podniósł wzrok na strome wzniesienie ponad plażą, na szczycie którego siedział samotnie na stołku przy sztalugach drobny, brzydki mężczyzna, najwyraźniej pochłonięty malowaniem. Glessing zaśmiał się w duchu, przypominając sobie, jak pysznie się bawił z tym malarzem w Makau.

Oprócz Quance’a Glessing nie lubił nikogo z zebranych na plaży, z wyjątkiem Horatia Sinclaira. Horatio był jego rówieśnikiem i przez dwa lata spędzone na Dalekim Wschodzie dobrze go poznał. Horatio był poza tym adiutantem, tłumaczem i sekretarzem Longstaffa, jedynym tutaj Anglikiem, który biegle mówił i pisał po chińsku, tak więc siłą rzeczy współpracowali ze sobą.

Glessing przesunął wzrokiem po plaży i z przykrością spostrzegł, że Horatio stoi w strefie przyboju, rozmawiając z Austriakiem Wolfgangiem Maussem, człowiekiem, którym on sam gardził. Pastor Mauss był drugim oprócz Sinclaira Europejczykiem na Wschodzie, który pisał i mówił po chińsku. Ten potężny siwiejący brunet o skołtunionych długich włosach i brodzie, ksiądz renegat, przewoźnik opium i tłumacz Struana, nosił za pasem pistolety i chodził w surducie o zapleśniałych połach. Pociemniałe resztki zębów miał połamane, czerwony nos jak kartofel, a w jego ordynarnych rysach królowały oczy.

Zupełne przeciwieństwo Horatia – pomyślał Glessing. Horatio był jasnowłosy, drobny i schludny jak Nelson, którego imię mu nadano na pamiątkę bitwy pod Trafalgarem, gdzie zginął jego wuj.

W rozmowie tych dwu uczestniczył też wysoki, gibki Eurazjata, młodzieniec, którego Glessing znał tylko z widzenia. Gordon Czen – bękart Struana.

Do diaska – zgorszył się – jak Anglicy mogą tak otwarcie pokazywać się w towarzystwie nieślubnych mieszkańców! A ten tu w dodatku paraduje jak ci wszyscy przekłenci poganie: w długim chałacie i z warokczem opadającym na plecy. Do diaska! Gdyby nie te niebieskie oczy i jasna cera, człowiek nie miałby pojęcia, że płynie w nim angielska krew. Czemu ten czort nie ostrzyże się jak człowiek? Ohyda!

Glessing odwrócił się do nich tyłem i zaczął się przechadzać. Ten mieszaniec jest chyba w porządku – pomyślał – nic tu nie zawinił. Ale ten przekłety Mauss to niewłaściwe towarzystwo. Niewłaściwe i dla Horatia, i dla jego siostry, drogiej Mary. Oto mi młoda dama godna bliższej znajomości. Do diaska, to dopiero byłaby żona!

Zwolnił kroku. Właściwie po raz pierwszy pomyślał o Mary jako swojej ewentualnej żonie.

A czemu by nie? – zadał sobie pytanie. – Znasz ją od dwóch lat. Jest piękną, której zdrowie piją w całym Makau. Nienagannie prowadzi dom Sinclairów i traktuje Horatia jak księcia. Stół jest u niej najlepszy w mieście, świetnie też zarządza służbą. Na klawikordzie gra jak marzenie i śpiewa jak anioł, do pioruna! Na pewno cię lubi, no bo jak inaczej wytłumaczyć, że szczerze zaprasza cię na obiady, ilekroć odwiedzasz z Horatiem Makau? Czemu więc nie jako żona, he? Tylko że ona nigdy nie była w kraju. Całe życie spędziła wśród pogan. Nie ma własnych dochodów. Jej rodzice nie żyją. Ale czy to naprawdę takie ważne? Za życia wielebny Sinclair cieszył się szacunkiem w całej Azji, a Mary jest piękna i ma zaledwie dwadzieścia lat. Mam wspaniałe widoki na przyszłość. Zarabiam pięćset funtów rocznie i z czasem odziedziczę dwór i włości. Do diaska, to może być moja jedyna. Moglibyśmy wziąć ślub w kościele anglikańskim w Makau, wynająć dom aż do wygaśnięcia mojego kontraktu, a potem wrócić do kraju. W stosownej chwili zagadnę Horatia: „Posłuchaj, stary, chcę z tobą pomówić”...

– Skąd ta cała zwłoka, komandorze Glessing? – wyrwał go nagle z zamyślenia szorstki głos Brocka. – Mieliliśmy wciągnąć flagę na osiem szklanek, a jest już godzina po.

Glessing odwrócił się raptownie. Takim napastliwym tonem mógł się do niego zwracać admirał, ale nikt inny niższy stopniem.

– Flaga zostanie wciągnięta, panie Brock, kiedy jego ekscelencja zejdzie na brzeg albo okręt flagowy da znak wystrzałem z działa. Jedno z dwojga – odparł.

– A kiedy to będzie?

– Widzę, że jeszcze nie jesteście w komplecie.

– Chodzi o Struana?

– Oczywiście. Czyż nie jest tai-panem Noble House? – spytał z umyślnym naciskiem Glessing, wiedząc, że rozdrażni tym Brocka, po czym dodał: – Radzę uzbroić się w cierpliwość. Nikt nie kazał wam handlarzom schodzić na brzeg.

Brock poczerwieniał.

– Mógłbyś pan nauczyć się odróżniać kupców od handlarzy – burknął. Przesunął prymkę tytoniu pod policzkiem i splunął na kamienie u stóp Glessinga.

Kilka kropelek śliny zmąciło blask ozdobionych srebrnymi sprzączkami butów komandora.

– *Pardą* – zadrwił Brock z udaną pokorą i odszedł. Glessing zeszywniał. Gdyby nie to „pardą”, wyzwiałby Brocka na pojedynek. Parszywy, nikczemny łyk – pomyślał przepełniony pogardą.

– Przepraszam, panie komandorze – odezwał się dowódca żandarmerii okrętowej salutując. – Sygnał z okrętu flagowego.

Glessing przymrużył oczy na zacinającym wietrze. Wiadomość przekazana za pomocą flag sygnałowych brzmiała: „Dowódcy okrętów zameldują się na pokładzie o czterech szklankach”. Poprzedniego wieczoru Glessing brał udział w prywatnym spotkaniu admirała i Longstaffa. Admirał oświadczył, że przyczyną wszystkich kłopotów w Azji jest przemyt opium. „Do kata, drogi panie, brak im poczucia przyzwoitości! – wybuchnął. – W głowie im tylko pieniądze. Zakażmy przemytu opium, a skończą się wszystkie nasze kłopoty z tymi przekłętymi poganami i handlarzami. Na miły Bóg, już Królewska Marynarka dopilnuje, żeby wcielono w życie pańskie zarządzenie!”. I Longstaff słusznie przyznał mu rację. Przypuszczam, że dziś je ogłosi – pomyślał Glessing, z trudem kryjąc zadowolenie. – Doskonale! W samą porę. Ciekawe, czy Longstaff powiedział właśnie Struanowi, że wydaje zarządzenie.

Obejrzał się na barkas, który nadpływał bez pośpiechu. Struan fascynował go. Podziwiał i nienawidził zarazem tego kapitana, który przeżeglował wszystkie oceany świata, rujnując ludzi, spółki i okręty na chwałę firmy Noble House. Jakże niepodobny do Robba, którego lubił – pomyślał.

Mimo woli zadrzał. A może prawdą były opowieści krążące wśród żeglarzy, jak morza chińskie długie i szerokie, że Struan czci potajem-

nie samego Diabła i że w zamian Diabeł dał mu władzę na ziemi? Bo dla czego właściwie wygląda tak młodo i ma tyle sił, białe zęby, gęstą czuprynę i sprawność młodzieńca, skoro większość jego rówieśników jest niedołężna, schorowana i stoi jedną nogą w grobie? Chińczycy boją się go z całą pewnością. Przewali go Starym Zielonookim Podłym Diabeł i wyznaczili za niego nagrodę, podobnie zresztą jak za wszystkich Europejczyków. Ale nagroda za Tai-pana wynosi sto tysięcy liangów srebra. Za martwego! Bo nie wierzą, żeby dał się schwycić żywcem.

Rozzłoszczony tymi myślami Glessing rozprostował palce nóg w cisnących butach ze sprzączkami. Stopy paliły go, a szamerowany złotem mundur krępował ruchy. Przekłete opóźnienie! Przekłeta wyspa i zatoka, to przez nie marnotrawi się dobre okręty i dobrych marynarzy! Pamiętał słowa ojca: „Przekłęci cywile! Myślą tylko o pieniądzach i władzy. A honoru nie mają za grosz. Kiedy dowodzi cywil, synu, to bacz, co masz za plecami. I pamiętaj, że nawet Nelson musiał przytykać lunetę do ślepego oka, kiedy dowódcą był idiota”. Jak ktoś taki jak Longstaff może być do tego stopnia głupi? Pochodzi z dobrej rodziny, odebrał dobre wychowanie, jego ojciec był dyplomatą na dworze hiszpańskim. A może portugalskim?

Czemu jednak Struan nakłonił go do przerywania tej wojny? Naturalnie, dostajemy zatokę, która pomieściłaby niejedną flotę. Ale co poza tym?

Przyjrzał się uważnie statkom w zatoce: była wśród nich dwudziestodwudziałowa „Chińska Chmura” Struana, dwudziestodwudziałowa „Biała Czarownica”, którą chlubił się Brock, i dwudziestodziałowy bryg amerykańskiej spółki Cooper-Tillman „Księżniczka Alabamy”. Statek w statek same wspaniałości. O tak, wartaloby z nimi powalczyć – pomyślał. – Amerykanów zatopiłbym na pewno. Brocka? Z trudem, ale jestem lepszy od niego. A Struana?

Wyobraził sobie morską bitwę ze Struanem. I wtedy pojął, że się go boi. A z tej obawy porwał go gniew i obrzydzenie, że musi udawać, że Struan, Brock, Cooper i reszta tych handlarzy nie są piratami.

Do diaska – zaklął w duchu – natychmiast po ogłoszeniu tego zarządzenia poprowadzę flotyllę, która rozbije ich w proch.

Arystoteles Quance, filigranowy szpakowaty malarz, siedział marotnie przed swoim niedokończonym obrazem na sztalugach. Ubranie, co do którego był niesłychanie wybredny, miał skrojone i dobrane podług najnowszej mody: czarny wełniany surdut z wysokim kołnierzem, halsztukiem i szpilką z perłą, kamizelkę z perłowego atłasu, szare ob-

cisłe spodnie, białe jedwabne skarpetki i czarne półbuty z kokardkami. Ten pięćdziesięcioośmioletni pół Irlandczyk, pół Anglik był najstarszym Europejczykiem na Dalekim Wschodzie.

Zdjął okulary w złotej oprawie i przecierając je nieskazitelną koronkową chusteczką, myślał: „Żałuję, że doczekałem tego dnia. Przeklęty Dirk Struan. Gdyby nie on, nie byłoby tego diabła wartego Hongkongu”.

Wiedział, że jest świadkiem końca pewnej epoki. Hongkong zniszczy Makau – pomyślał. – Przechwyci cały handel. Wszyscy angielscy i amerykańscy kapitanowie przeniosą tu swoje siedziby. Zamieszkają tu i będą się budować. A za nimi ściągną na tę wyspę portugalscy urzędnicy. I Chińczycy, żyjący z obcokrajowców i handlu z Zachodem. No ale ja tu w życiu nie zamieszkam – poprzysiągł sobie. – Będę z musu przyjeżdżał co jakiś czas, żeby zarobić, ale moją siedzibą na zawsze pozostanie Makau.

Mieszkał w Makau od przeszło trzydziestu lat. On jeden spośród Europejczyków czuł się mieszkańcem Dalekiego Wschodu. Pozostali przyjeżdżali tu na kilka lat i wracali tam, skąd przybyli. Zostawiali tylko ci, którzy zmarli, a przed śmiercią nie mogli sobie pozwolić na zastrzeżenie w swoich testamentach, żeby zwłoki ich przewieziono i pochowano w „ojczyźnie”.

Mnie dzięki Bogu pogrzebią w Makau – rzekł do siebie. – Świetnie się tam bawiłem, tak jak i wszyscy. A teraz koniec z tym. Niech Bóg skarże cesarza Chin, który był na tyle głupi, żeby zburzyć stuletni przemysłnie skonstruowany gmach!

Wszystko funkcjonowało tak wspólnie, a teraz koniec z tym – pomyślał z goryczą. – Sprawiliśmy sobie Hongkong. A ponieważ tym samym potęga Anglii została zaangażowana na Dalekim Wschodzie, a kupcy zakosztowali smaku władzy, nie zadowolą się samym Hongkongiem.

– No cóż – wyrwało mu się niechcący na głos – cesarz zbierze to, co zasiał.

– Co pan taki skwaszony, panie Quance?

Quance założył okulary. U podnóża nadbrzeżnej skarpy stał Morley Skinner.

– Wcale nie skwaszony, młody człowieku. Smutny. Artyści mają prawo – ba, obowiązek! – być smutni – odparł. Odłożył na bok niedokończony malunek i umieścił na sztalugach czysty arkusz papieru.

– Całkowicie się z panem zgadzam, całkowicie. – Skinner wgramolił się na skarpe, spoglądając na niego mętными piwnymi oczami. – Chciałem zasięgnąć pana opinii o tym historycznym dniu. Zamierzam

wydać specjalny numer, który nie może się obejść bez kilku słów wypowiedzianych przez naszego najstarszego obywatela.

– Całkiem słusznie, panie Skinner. Może pan napisać: „Pan Arystoteles Quance, nasz wybitny malarz, *bon vivant*, jak również kochany przyjaciel, skwitował odmownie naszą prośbę o wypowiedź, gdyż zajęty był tworzeniem swojego kolejnego arcydzieła”. – Quance zażył niuch tabaki i potężnie kichnął. Potem chusteczką strzepnął z surduta jej resztki i starł mokre kropki z kartonu. – Do widzenia panu – rzekł, zabierając się znów do malowania. – Przeszkadza pan nieśmiertelności.

– Doskonale pana rozumiem – odparł Skinner z uprzejmym skinieniem głowy. – Doskonale. Odczuwam to samo, kiedy mam napisać coś ważnego – dodał i odszedł ociężałym krokiem.

Quance nie ufał Skinnerowi. Nie ufał mu nikt. A przynajmniej nikt, kto zostawił za sobą niewygodną przeszłość, wszyscy zaś tu mieli coś do ukrycia. Skinner z lubością wskrzeszał przeszłość.

Przeszłość... Na wspomnienie swojej żony Quance zadrżał. Do stu śmiertelnych piorunów! Co mnie zaślepiło – pomyślał – że ta irlandzka potwora wydała mi się godną mnie połowicą? Dzięki Bogu powróciła na te ohydne irlandzkie moczary i już nigdy nie zawita w moje progi. Kobiety są przyczyną wszelkich utrapień męskich. No, nie wszystkie – zastrzegł się ostrożnie. – Najmilsza Maria Tang do nich nie należy. O nie, jak się na tym znam, to rozkoszne dziewczątko. A jeżeli ktoś natknął się na nieskazitelną krzyżówkę krwi chińskiej i portugalskiej, to właśnie ty, drogi łebski Quansie! Do diabła, miałem cudowne życie.

I nagle pojął, że chociaż jest świadkiem końca epoki, uczestniczy również w powstawaniu nowej. Miał być teraz naocznym świadkiem i kronikarzem nowo tworzonej historii. Rysować nowe twarze. Malować nowe okręty. Uwieczniać nowe miasto. Flirtować z nowymi dziewczętami i podszcypywać nowe kuperki.

– Smutny? Przenigdy! – zakrzyknął. – Bierz się do roboty, Arystotelesie, stary pryku!

Ci na plaży, którzy usłyszeli okrzyk Quance’a, roześmiali się, wymieniając spojrzenia. Cieszył się ogromną popularnością i szukano jego towarzystwa. A jego skłonność mówienia do siebie nikogo nie dziwiła.

– Dzisiejsza uroczystość nie mogłaby się odbyć bez naszego drogiego Arystotelesa – rzekł z uśmiechem Horatio Sinclair.

– Tak – potwierdził Wolfgang Mauss, drapiąc się w zawieszoną brodę. – Jest tak brzydki, że aż sympatyczny.

– Pan Quance to wielki malarz – rzekł Gordon Czen. – Dlatego jest piękny.

Potężny Mauss przestąpił z nogi na nogę i wbił wzrok w Eurazjatę.

– Mówi się „przystojny”, chłopcze – poprawił go. – Po to cię uczyłem tyle lat, żebyś nadal nie odróżniał słów „przystojny” i „piękny”, *hein*? A poza tym to nie jest wielki malarz. Styl ma wyśmienity i jest moim przyjacielem, ale brak mu geniuszu prawdziwego mistrza.

– Użyłem słowa „piękny” w sensie artystycznym, proszę pana.

Horatio dostrzegł na twarzy Gordona Czena błysk gniewu. Biedny Gordon – pomyślał, żałując go. – Nie należy ani do jednego świata, ani do drugiego. Strasznie pragnie być Anglikiem, a mimo to nosi chiński chałat i warkocz. Wszyscy wiedzą, że jest bękartem Tai-pana zrodzonym z chińskiej dziewczki, ale nikt, nawet jego ojciec, nie przyznaje się do niego.

– Uważam, że maluje cudownie – rzekł cicho Horatio. – I sam jest cudowny. Dziwne, że wszyscy tak za nim przepadają, a mój ojciec gardził nim.

– A, pański ojciec – powiedział Mauss. – To był święty człowiek. Żył według surowych chrześcijańskich zasad, nie tak jak my, zwykli grzesznicy. Pokój jego duszy.

O nie – pomyślał Horatio. – Wieczne męki piekielne jego duszy!

Pastor Sinclair należał do grupy angielskich misjonarzy, która jako pierwsza osiedliła się w Makau przed trzydziestu kilku laty. Brał udział w pracach nad przekładem Pisma Świętego na chiński i nauczał w szkole angielskiej założonej przez jego misję. Przez całe życie był poważany przez wszystkich – z wyjątkiem Tai-pana – jako uczciwy człowiek, a kiedy zmarł przed siedmiu laty, pochowano go jak świętego.

Horatio mógł wybaczyć ojcu wpędzenie matki do grobu w tak młodym wieku, jego doktrynerstwo i tyranie wpływające z surowych zasad, jakie wyznawał, fanatyczną cześć oddawaną straszliwemu Bogu, obłąkaną jednostronność misjonarskiego zapału i wszystkie chłosty, jakie mu wymierzył. Ale nawet po tylu latach nie był w stanie wybaczyć mu bicia Mary i klątw miotanych na głowę Tai-pana.

To właśnie Tai-pan znalazł małą, sześćioletnią Mary, kiedy przerażona uciekła z domu. Uspokoił ją i odprowadził do domu ojca, ostrzegając go, że jeżeli choć raz jeszcze tknie ją choćby palcem, to wywlecze go zza kazalnicy i wybatoży, pędząc przez ulice Makau. Od tej pory Horatio darzył Tai-pana najgłębszą czcią. Chłosty ustały, ale nastąpiły inne kary. Biedna Mary.

Na myśl o niej serce zabiło mu żywiej i spojrzał na okręt flagowy, na którym chwilowo mieszkali. Wiedział, że siostra obserwuje wybrze-

że i tak jak on liczy dni, które zostały im do powrotu do Makau. To tylko czterdzieści mil stąd na południe, a jednak tak daleko. Z wyjątkiem pobytu w Anglii, gdzie się uczył, resztę swojego dwudziestosześcioletniego życia spędził w Makau. Nie znosił szkoły, zarówno w kraju, jak i tu. Nie znosił tego, że go uczy ojciec; stawał na głowie, żeby go zadowolić, ale nigdy mu się to nie udało. Przeciwnie Gordon Czen, który był pierwszym Eurazjatem przyjętym do angielskiej szkoły w Makau. Gordon Czen uczył się wyśmienicie i zawsze udawało mu się zadowolić wielbego pastora Sinclaira. Jednak Horatio nie zazdrościł mu, bo z kolei jego katem był Mauss. Gordon zbierał od Maussa trzykroć więcej cięgów niż on od swojego ojca. Austriak był również misjonarzem. Uczył angielskiego, łaciny i historii.

Horatio rozluźnił napięte mięśnie pleców. Spostrzegł, że Mauss i Gordon znów wpatrują się uporczywie w barkas, i zaczął się zastanawiać, czemu Austriak tak surowo traktował w szkole tego chłopaka, dla czego tak wiele od niego wymagał. Podejrzewał, że powodem tego jest nienawiść Wolfganga do Tai-pana. Bo Tai-pan przejrzał go na wylot, proponując mu pieniądze i rolę tłumacza podczas przemytniczych wypraw z opium wzdłuż wybrzeży Chin. W zamian za to pozwolił mu rozdawać chińskie Biblie, odezwy i wygłaszać poganom kazania wszędzie tam, gdzie zawijał statek, ale zawsze dopiero po sprzedaniu opium. Przypuszczał, że Wolfgang gardzi sobą za swoją hipokryzję i przykładanie ręki do takiego zła, zmuszony bowiem był udawać, że cel uświęca środki, wiedząc, że to nieprawda.

Dziwny z ciebie człowiek, Wolfgang – pomyślał. Pamiętał, jak w zeszłym roku popłynął na okupowaną wyspę Czuszan. Za zgodą Tai-pana Longstaff mianował Maussa tymczasowym urzędnikiem sądowym, który miał wcielić w życie prawa stanu wojennego i zaprowadzić brytyjską sprawiedliwość.

Wbrew obowiązującemu zwyczajowi wprowadził on na Czuszenie srogie zarządzenia zakazujące grabieży i rabunków. Mauss zapewnił wszystkim rabusiom: Chińczykom, Hindusom, Anglikom, sprawiedliwy proces przy drzwiach otwartych, po czym skazywał ich na powieszenie, wygłaszając nieodmienną sentencję: „*Gott im Himmel*, zlituj się nad tym biednym grzesznikiem. Powiesić go”. I grabieże wkrótce ustały.

Ponieważ w sądzie, w przerwach między egzekucjami, Mauss z upodobaniem snuł wspomnienia, Horatio dowiedział się, że był on trzykrotnie żonaty, za każdym razem z Angielką. Że dwie pierwsze żony zmarły mu na czerwonkę, a obecna miewała się nie najlepiej. Że chociaż był oddanym mężem, to diabeł nadal z powodzeniem wodził

go na pokuszenie do burdelu i piwnicznych spelunek w Makau. Że chińskiego wyuczył się od pogan w Singapurze, dokąd posłano go jako młodego misjonarza. Że dwadzieścia ze swoich czterdziestu lat przeżył w Azji i ani razu nie odwiedził w tym czasie ojczyzny. Że obecnie nosił przy sobie pistolety, bo „nigdy nie wiadomo, kiedy jaki poganin albo pogański pirat zechce człowieka zabić albo obrabować”. Że wszystkich ludzi uważał za grzeszników, a nade wszystko siebie samego. Że jedynym jego celem w życiu było nawracanie pogan i zamienienie Chińczyków w naród chrześcijański.

– O czym pan myśli? – wyrwało Horatia z zamyślenia pytanie Maussa.

Spostrzegł, że Austriak bacznie mu się przygląda.

– Och, o niczym – odparł szybko. – Tylko tak... tak tylko się zamyśliłem.

Mauss w zadumie podrapał się w brodę.

– Ja też – powiedział. – To dzień na przemyślenia, *hein*? W Azji wszystko się teraz zmieni.

– Tak. Nie wątpię. Przeprowadzi się pan tutaj z Makau? Pobuduje się pan?

– Tak. Dobrze będzie mieć własną ziemię, z dala od tego gniazda papistów. Mojej żonie to się spodoba. Ale mnie? Czy mnie, nie wiem – rzekł Mauss. – Moje miejsce jest tam – dodał pożerany tęsknotą i wielką dłonią zaciśniętą w pięść wskazał łąd.

Horatio spostrzegł, że oczy spoglądającego w dal Austriaka pociemniały. Co aż tak fascynującego mają w sobie Chiny? – zadał sobie w duchu pykanie.

Ze znużeniem przesunął wzrokiem po wybrzeżu, wiedząc, że nie znajdzie tam żadnej odpowiedzi. Żeby tak był bogaty – pomyślał. – Nie tak bogaty jak Tai-pan czy Brock. Ale na tyle, żeby wybudować piękny dom, przyjmować w nim kupców i zabrać Mary w zbytkowną podróż do kraju przez Europę.

Odpowiadała mu praca tłumacza i osobistego sekretarza jego eks-celencji, ale potrzebował więcej pieniędzy. Na tym świecie nie można się było bez nich obejść. Mary powinna mieć balowe suknie i brylanty. O tak. Lecz mimo to cieszył się, że nie jest zmuszony zarabiać na chleb powszedni jak ci kupcy. Kupcy z konieczności byli bezwzględni, o, jakże bezwzględni, i wciąż nadstawiali karku. Wielu, którzy dziś uważali siebie za bogatych, mogło za miesiąc splajtować. Wystarczyło stracić statek, żeby przepaść. Straty nie omijały nawet Noble House. Statek Struana „Szkarłatna Chmura” miał już dwa miesiące spóźnienia i możliwe, że remontowano właśnie jego pokieraszowany przechylony

kadłub na jakiejś niezaznaczonej na mapie wyspie pomiędzy Hongkongiem a Ziemią Van Diemena, dwa tysiące mil w bok od trasy rejsu. Najprawdopodobniej zaś spoczywał na dnie morza z komorami wypełnionymi ładunkiem opium wartym pół miliona gwinei.

No a do jakiego traktowania innych ludzi, a nawet przyjaciół, byli zmuszeni kupcy, żeby tylko przetrwać, nie mówiąc już o zapewnieniu sobie dobrobytu? Okropność!

Spostrzegł, że Gordon Czen wpatruje się w barkas, i ciekaw był, o czym myśli. Wyobrażam sobie, jakie to straszne być mieszkańcem – pomyślał. – Przypuszczam, że gdyby prawda wyszła na jaw, okazałoby się, że także nienawidzi Tai-pana, choć udaje coś przeciwnego. Ja na jego miejscu bym go nienawidził...

Gordon Czen myślał o opium i błogosławił je. Bez opium nie byłoby Hongkongu, a Hongkong – pomyślał, nie posiadając się z radości – stwarza mi niepowtarzalną bajeczną szansę zarobienia pieniędzy i jest niewiarygodnym uśmiechem džosu dla Chin.

Gdyby nie opium – rozumował w duchu – w ogóle nie byłoby handlu z Chinami. A gdyby nie było handlu z Chinami, to Tai-pan nigdy nie zdobyłby pieniędzy na wykupienie mojej matki z burdelu, a ja wcale bym się nie narodził. To opium opłaciło dom w Makau, który ojciec podarował matce wiele lat temu. To opium opłaciło nasze jedzenie i ubrania. To opium opłaciło moje wykształcenie, nauczycieli chińskich i angielskich, dzięki czemu teraz, obecnie, jestem najlepiej wykształconym młodzieńcem na całym Wschodzie.

Zerknął z ukosa na Horatia Sinclaira, który ze zmarszczonymi brwiami rozglądał się po plaży. Poczuł ukłucie zawiści na myśl, że Horatia posłano do szkoły w ojczyźnie. On nigdy tam nie był.

Słumił jednak w sobie tę zawiść. Na ojczyznę przyjdzie czas później – przyrzekł sobie radośnie. – Za kilka lat.

Obrócił się, żeby znów spojrzeć na barkas. Wielbił Tai-pana. Ani razu nie nazwał Struana ojcem i ani razu nie został nazwany przez niego synem. Prawdę mówiąc, rozmawiał z nim najwyżej ze trzydzieści razy w życiu. Ale dokładał starań, żeby ojciec był z niego dumny, i w skrytości ducha, w myślach zawsze nazywał go ojcem. Kolejny raz pobłogosławił go za to, że sprzedał matkę Czen Szengowi na trzecią żonę. Miałem olbrzymi džos – pomyślał.

Czen Szeng, miejscowy faktor firmy Noble House, zastępował Gordonowi Czenowi ojca. Faktorem nazywano chińskiego agenta, który kupował i sprzedawał w imieniu zagranicznego przedsiębiorstwa. Każdy bez wyjątku towar przechodził przez jego ręce. Przyjęło się, że do

każdego towaru faktor doliczał sobie procent, który stanowił jego osobisty zysk. Ale zarobki faktora, z których pokrywał on nieściągalne długi, zależały od powodzenia jego firmy. Tak więc żeby się wzbogacić, musiał zachowywać daleko posuniętą ostrożność i postępować chytrze i przebiegle.

Och, jakże bym chciał być tak bogaty jak Czen Szeng! – westchnął w duchu Gordon Czen. – A jeszcze lepiej jak Żin-cia, wuj Czen Szenga. Uśmiechnął się do siebie, ubawiony tym, że Anglikom tak trudno wymówić chińskie nazwiska i nazwy. Naprawdę Żin-cia nazywał się Czen-tse Żin Ana, ale nawet Tai-pan, który znał go od bez mała trzydziestu lat, nadal nie potrafił wymówić jego imienia i nazwiska w pełnym brzmieniu. Dlatego wiele lat temu przezwwał go „Żin”. Zniekształcone „cia” oznaczało po chińsku „pan”.

Gordon Czen wiedział, że Chińczycy nie mają nic przeciwko przezwiskom. Tylko ich one bawiły, stanowiąc jeszcze jeden dowód braku kultury u barbarzyńców. Pamiętał, jak wiele lat temu, będąc chłopcem, obserwował z ukrycia przez dziurę w ogrodowym płocie palących opium Czen-tse Żin Ana i Czen Szenga. Słyszał, jak śmieją się z jego ekscelencji – z tego, że mandaryni nazwali Longstaffa* „wstrętnym interesem”, co było żartem z jego nazwiska – oraz z tego, że przez rok tytułowano go tym mianem w urzędowych listach pisanych chińskimi hieroglifami w przekładzie na dialekt kantoński, aż do czasu, gdy dowiedział się o tym Mauss, powiedział Longstaffowi i zepsuł świetny żart.

Gordon Czen spojrzał ukradkiem na Maussa. Powązał go jako bezlitosnego nauczyciela i był mu wdzięczny za to, że zmuszał go, aby był najlepszym uczniem w szkole. Niemniej pogardzał nim za jego okrucieństwo oraz za to, że jest brudny i śmierdzi.

Gordonowi podobało się w szkole misyjnej, lubił się uczyć i lubił przebywać wśród uczniów. Ale pewnego dnia spostrzegł, że różni się od innych dzieci. W obecności ich wszystkich Mauss wyjaśnił mu, co to znaczy „bękart”, „nieślubny” i „mieszaniec”. Gordon Czen uciekł przerażony do domu. I wtedy po raz pierwszy zdał sobie jasno sprawę, kim jest jego matka, i wzgardził nią za to, że jest Chinką.

A potem, zapłakany, dowiedział się od niej, że dobrze jest być choć w części Chińczykiem, bo Chińczycy to najczystsza rasa na ziemi. I dowiedział się też, że jego ojcem jest Tai-pan.

* Longstaff – nazwisko wieloznaczne: znaczy m.in. „długa laska”, „długi interes”, stąd gra słów (przyp. tłum.).

– No to dlaczego mieszkamy tutaj? – spytał. – Dlaczego nazywam ojcem Czen Szengą?

– Barbarzyńcy mają tylko jedną żonę i nie żenią się z Chinkami, synu – wytłumaczyła mu Kai-sung.

– Dlaczego?

– Taki mają zwyczaj. Głupi zwyczaj. Ale tacy już oni są.

– Nienawidzę Tai-pana! Nienawidzę! Nienawidzę! – wybuchnął.

Matka uderzyła go wtedy w twarz, z całej siły. Zrobiła to po raz pierwszy w życiu.

– Padnij na kolana i błagaj o przebaczenie! – wykrzyknęła z gniewem. – Tai-pan jest twoim ojcem. Dał ci życie. Dla mnie jest bogiem. Kupił mnie dla siebie, a potem uszczęśliwił, odprzedając mnie na żonę Czen Szengowi! Jak inaczej Czen Szeng wziąłby sobie kobietę z dwuletnim nieczystym rasowo synem, skoro mógł sobie kupić tysiąc dziewczyc, jeśli nie dlatego, że tak chciał Tai-pan? Jak inaczej Tai-pan podarowałby mi dom, gdyby nas nie kochał? Jakżeby inaczej dochód z niego trafiał do moich rąk, a nie Czen Szenga, gdyby Tai-pan tego nie nakazał? Jak inaczej Czen Szeng traktowałby mnie tak dobrze, nawet w tak podeszłym wieku, jeśli nie ze względu na nieustającą życzliwość Tai-pana? Czemu to Czen Szeng traktuje cię jak syna, ty niewdzięczny półgłówku, jeśli nie ze względu na Tai-pana? Idź do świątyni, bij pokłony i błagaj o przebaczenie. Tai-pan dał ci życie. Dlatego kochaj go, szanuj go i błogosław tak jak ja. Jeżeli jeszcze raz usłyszysz z twoich ust takie słowa, odwrócę się od ciebie na zawsze!

Gordon Czen uśmiechnął się do siebie. Jakąż słuszość miała matka, jakże się mylił i jaki był głupi. Ale nie tak głupi jak mandaryni i ten przeklęty cesarz, żeby chcieć zlikwidować sprzedaż opium. Każdy duren wie, że bez niego nie byłoby srebra za herbatę i jedwabie.

Spytał kiedyś matkę, jak się wyrabia opium, ale nie wiedziała ani ona, ani nikt z domowników. Nazajutrz spytał o to Maussa, który wyjaśnił mu, że opium to sok zbierany z dojrzałych makówek.

– Hodowca wytwarzający opium delikatnie nacina główkę maku i z tego nacięcia wypływa kropla białego płynu, *hein*? Kropla po kilku godzinach twardnieje i z białej robi się ciemnobrązowa. A wtedy zdrapuje się ją, odkłada i robi nowe delikatne nacięcie. Potem zeszkrobuje się tę nową kroplę i nacina znowu. Zbiera się te krople do kupy i ulepia z nich kulę – zwykle dziesięciofuntową. Najlepsze opium pochodzi z Bengalu w Indiach Brytyjskich. Albo z Malwy. Gdzie leży Malwa, chłopcze?

– W Indiach Portugalskich, proszę pana!

– Należała do Portugalczyków, ale teraz jest własnością Spółki Wschodnioindyjskiej. Zajęli ją, żeby zdobyć światowy monopol na opium i zrujnować portugalskich handlarzy opium tu, w Makau. Za często się mylisz, chłopcze, dlatego idź po dyscyplinę, *hein*?

Gordon Czen dobrze pamiętał, jak tamtego dnia znienawidził opium. Ale teraz błogosławił je. I dziękował swojemu dżosowi za takiego ojca i za Hongkong. Spodziewał się, że Hongkong go wzbogaci. I to bardzo.

– Zrodzi się tu niejedna fortuna – rzekł do Horatia.

– Owszem, niektórzy kupcy będą prosperować – odparł z roztartnieniem Horatio, przyglądając się nadpływającemu barkasowi. – Nie-wielu. Handel to diablo ryzykowne zajęcie:

– Zawsze myślisz o pieniądzach, Gordon, *hein*? – spytał szorstko Mauss. – Lepiej pomyśl o zbawieniu swojej nieśmiertelnej duszy, chłopcze. Pieniądze nie są ważne.

– Oczywiście, proszę pana – odparł Gordon Czen, ukrywając uśmiešek rozbawienia głupotą tego człowieka.

– Tai-pan wygląda jak możny książe, który przybywa objąć w posiadanie królestwo – mruknął głównie do siebie Horatio.

Mauss przeniósł spojrzenie na Struana.

– Prawda, *hein*?

Barkas znajdował się już na przybrzeżnych falach.

– Wiosła na wałki! – krzyknął bosman i wiosłarze wciągnęli wiosła, przeleźli przez burty i śpiesznie pociągnęli łódź przez strefę kipieli.

Struan stał przez chwilę niezdecydowanie na dziobie. Potem zesko-czył. W chwili gdy wysokimi żeglarskimi butami dotknął brzegu, prze-czuł, że ta wyspa go uśmierci.

– Jezu miłosierny! – wykrzyknął.

Robb, który stał przy nim, spostrzegł jego nagłą błądź.

– Co się stało, Dirk? – spytał.

– Nic. – Struan zmusił się do uśmiechu. – Nic, bracie.

Stał z czoła wodny pył i ruszył szybkim krokiem w stronę masztu. Na rany Chrystusa – pomyślał – tyrałem całe lata, żeby cię zdobyć, wyspo, więc teraz mnie nie pokonasz! Dalibóg, nie!

Robb obserwował swego brata i jego lekko utykający chód. Pomy-słał, że znowu dokucza mu noga. Zastanawiał się, jak boli stopa, której pół brakuje. Zdarzyło się to podczas jedynej wyprawy przemysłniczej, na którą popłynął. Na Struana, który ratował mu, bezradnemu i pora-żonemu strachem, życie, napadli piraci. Kula z muszkietu odstrzeliła mu zewnętrzną część kostki u nogi i dwa małe palce. Po odparciu ata-

ku lekarz okrętowy przyżegł Dirkowi rany i polał je płynną smołą. Robb do tej pory miał w nozdrzach swąd przypiekanego ciała. Gdyby nie ja, nigdy by do tego nie doszło – pomyślał.

Dreńczony wyrzutami sumienia podążył za bratem.

– Dzień dobry, panowie – przywitał się Struan, podchodząc do grupki kupców stojących nie opodal masztu. – Dalibóg piękny ranek.

– Ino zimny – odparł Brock. – Bardzo to grzecznie z twojej strony, żeś taki punktualny.

– Pośpieszyłem się. Jego ekscelencji jeszcze nie ma na brzegu i nie dano znaku wystrzałem z działa.

– Aha, spóźniłeś się półtorej godziny, i głowę dam, żeś wszystko ustalił z tym mimozowatym lokajczykiem.

– Zechce pan z łaski swojej nie wyrażać się w taki sposób o jego ekscelencji, panie Brock! – wypalił komandor Glessing.

– A pan z łaski swojej zachowaj swoje poglądy dla siebie. Nie służę w marynarce i nie jestem pańskim podwładnym! – Brock splunął z wprawą. – Lepiej pomyśl pan o wojnie, której nie toczysz.

Glessing zacisnął dłoń na rękojeści szpady.

– W głowie mi nie powstało, że doczekam dnia, w którym Królewską Marynarkę Wojenną wezwie się do ochrony szmuglerów i piratów. Oto, kim jesteście – wyrzucił z siebie i spojrzał na Struana. – Wszyscy bez wyjątku.

Raptem zrobiło się cicho, a Struan zaśmiał się.

– Jego ekscelencja nie podziela pańskiej opinii – rzekł.

– Do diabła, mamy ustawy parlamentu, ustawy o żegludze. Jedna z nich głosi: „Każdy uzbrojony bez pozwolenia statek może być zajęty jako przyz przez marynarkę wojenną każdego z państw”. Czy pańska flota ma takie pozwolenie?

– Na tych wodach jest mnóstwo piratów, komandorze. Dobrze pan o tym wie – odparł swobodnie Struan. – Mamy akurat tyle broni, ile nam potrzeba dla bezpieczeństwa.

– Handel opium to łamanie prawa. Ile tysięcy skrzynek przemycił pan do Chin, łamiąc prawa tego kraju i zasady człowieczeństwa? Trzy tysiące? Dwadzieścia tysięcy?

– O naszej działalności tutaj wiedzą wszyscy sędziowie w Anglii.

– Wasz niby handel okrywa hańbą naszą flagę narodową.

– Lepiej dziękuj pan Bogu za ten handel, bo bez niego Anglia miałaby nie herbatę i jedwabie, ale powszechną nędzę, która wtrąciłaby ją w przepaść!

– Racja, Dirk – poparł Struana Brock i ponownie zwrócił się do Glessinga. – Lepiej zakonotuj pan to sobie w głowie, że bez kupców

nie byłoby Imperium Brytyjskiego i podatków na zakup okrętów wojennych i prochu. – Obrzucił spojrzeniem nieskazitelny mundur komandora, trójkątny kapelusz, białe bryczesy, pończochy i buty ze sprzączkami. – No i nie byłoby forsy, żeby wydawać krocie na ich dowódców!

Wśród marynarzy rozległy się tłumione śmiechy, a żołnierzom piechoty morskiej drgnęły twarze.

– A pan dziękuj Bogu za Królewską Marynarkę! Bez niej nie byłoby gdzie handlować!

Na okręcie flagowym huknęło działo sygnałowe.

– Prezentuj broń! – rozległa się komenda.

Glessing z miejsca pomaszzerował do masztu i wyjął proklamację. Zapadła cisza jak makiem zasiał. Ochłonawszy nieco z gniewu, zaczął czytać:

– Z rozkazu Jego Ekscelencji Wielmożnego Williama Longstaffa, Naczelnego Inspektora Handlu w Chinach z ramienia Jej Wysokości Wiktorii, Królowej Brytanii. Na mocy dokumentu zwanego Traktatem Czuenpi, podpisanego dwudziestego stycznia roku Pańskiego tysiąc osiemset czterdziestego pierwszego przez Jego Ekscelencję w imieniu rządu Jej Królewskiej Wysokości i przez Jego Ekscelencję Ti-sena, Pełnomocnika Jego Wysokości Tao Kuanga, Cesarza Chin, ja, komandor Glessing z Królewskiej Marynarki Wojennej, niniejszym obejmuję w posiadanie wyspę Hongkong w imieniu Jej Wysokości Królowej Brytanii, jej następców i spadkobierców po wsze czasy, swobodnie i bez przeszkód, dnia dwudziestego szóstego stycznia roku Pańskiego tysiąc osiemset czterdziestego pierwszego. Wyspa ta jest od tej chwili ziemią angielską. Bóże, zbaw Królową!

Brytyjska flaga narodowa załopotiała na szczycie masztu, a warta honorowa piechoty morskiej wystrzeliła salwę. Potem na okrętach angielskiej floty huknęły działa, a wiatr nasycił się silną wonią armatniego prochu. Zebrani na brzegu wznieśli okrzyk na cześć królowej.

A więc klamka zapadła – pomyślał Struan. – Zajęliśmy wyspę. Możemy zaczynać. Ruszył w stronę przybrzeżnej kipieli, oddalając się od zebranych, po raz pierwszy odwrócił się plecami do wyspy i spojrzał ponad wodami wielkiej zatoki na stały ląd po jej drugiej stronie – chińską ziemię oddaloną o tysiąc jardów.

Od strony lądu wbił się w zatokę nizinny półwysep z dziewięcioma przysadzistymi wzgórzami. Nazywał się Kau-Jung – Dziewięć Smoków – kupcy wymawiali jego nazwę „Koulun”. A dalej na północ rozpościerał się bezkresny i nieznany obszar Chin.

Struan przeczytał książki napisane przez jedynych trzech Europejczyków, którym udało się powrócić z wypraw do Chin. Byli nimi Marco Polo blisko sześć wieków temu i dwóch katolickich księży, których wpuszczono do Pekinu przed dwustu laty. Książki te prawie nic mu nie wyjaśniły.

Przez dwieście lat nie wpuszczono do Chin ani jednego Europejczyka. Raz jeden – łamiąc prawo – odszedł na milę w głąb lądu od wybrzeża koło Szantou, gdzie sprzedawał opium, ale Chińczycy zachowywali się wrogo, a towarzyszył mu tylko jego pierwszy oficer. W końcu zniechęciła go nie wrogość tubylców, ale sam fakt, że było ich niewyobrażalnie dużo i zamieszkiwali bezkresny ląd.

Rany boskie! – pomyślał. – Nie wiemy nic o najstarszym i najliczniejszym narodzie na ziemi. Jakie tajemnice kryje ten kraj?

– Czy Longstaff zejdzie na brzeg? – spytał Robb, który właśnie do niego podszedł.

– Nie, bracie. Jego ekscelencję zaprzatają ważniejsze sprawy.

– Jakież?

– Na przykład czytanie listów i pisanie rozkazów. I tajne układy z admirałem.

– W sprawie czego?

– Zdelegalizowania opium.

Robb zaśmiał się.

– Ja nie żartuję. Właśnie dlatego chciał się ze mną spotkać w obecności admirała. Chciał się mnie poradzić, kiedy ma ogłosić to zarządzenie. Admirał oświadczył, że jego flota nie będzie miała najmniejszych trudności z jego wyegzekwowaniem.

– Chryste Panie! Czy Longstaff oszalał?

– Nie. Po prostu jest naiwny – odparł Struan, zapalając cygaro. – Doradziłem mu, żeby ogłosił to zarządzenie z wybiciem czterech szklanek.

– Ależ to szaleństwo! – wybuchnął Robb.

– To bardzo mądre posunięcie. Marynarka przez tydzień nie będzie egzekwować zarządzenia, żeby dać kupcom czas na sprzedanie zapasów.

– Ale co zrobimy potem? Bez opium koniec z nami. Koniec handlu z Chinami. Koniec.

– Ile mamy gotówki, Robb?

Robb rozejrzał się dla pewności, że nikogo nie ma w pobliżu, i zniżył głos.

– Po pierwsze srebro w Szkocji – odparł. – Po drugie w naszym banku w Anglii milion sto tysięcy funtów szterlingów. Następnie oko-

ło stu tysięcy w srebrze tutaj. Poza tym należą nam się trzy miliony za skonfiskowane opium. Na „Szkarłatnej Chmurze” mamy opium warte po obecnych cenach rynkowych dwieście tysięcy gwinei. Z kolei...

– „Szkarłatną Chmurę” spisz na straty, bracie. Przepadła.

– Nie traćmy nadziei, Dirk. Poczekajmy na nią jeszcze miesiąc. W ładowniach innych statków mamy opium za około sto tysięcy gwinei. W wekslach na okaziciela jesteśmy dłużni dziewięćset tysięcy.

– Ile nam potrzeba na utrzymanie firmy przez najbliższe pół roku?

– Sto tysięcy pójdzie na utrzymanie statków, pensje pracowników i haracz.

Struan zastanawiał się przez chwilę.

– Do jutra rana kupcy wpadną w popłoch. Żaden, może z wyjątkiem Brocka, nie zdoła sprzedać swojego opium w ciągu tygodnia. Dziś po południu wyślij nasze statki z całym ładunkiem na sprzedaż. Myślę...

– Ależ Longstaff musi zmienić to zarządzenie – przerwał mu Robb z rosnącym niepokojem. – Inaczej niepodobna. Przecież zrujnowałby skarb państwa.

– Słuchasz mnie czy nie słuchasz? Kiedy jutro zapanuje popłoch, weźmiesz całe nasze srebro co do lianga, a poza tym tyle, ile zdołasz pożyczyć, i kupisz opium. Spodziewam się, że zarobisz dziesięć centów na dolarze.

– Nie sprzedamy w tydzień tego, co mamy, a tym bardziej większej ilości.

Struan strząsnął popiół z cygara.

– Na dzień przed wprowadzeniem zarządzenia w życie Longstaff odwoła je – oświadczył.

– Nie rozumiem.

– Chodzi o uratowanie twarzy, Robb. Po wyjściu admirała wytłumaczyłem Longstaffowi, że zakaz sprzedaży opium zniszczy cały handel. Chryste Panie, ile razy muszę to tłumaczyć? Powiedziałem, że jeżeli nie chce wystawić na pośmiewisko siebie i admirała, który ma najlepsze chęci, ale w ogóle nie zna się na handlu, to nie może natychmiast odwołać zarządzenia. Pozostaje mu więc jedynie ogłosić je, a potem, żeby ocalić admirałowi autorytet i stanowisko, odwołać. Przyrzekłem mu, że w tym czasie wytłumaczę admirałowi, co to znaczy „handel”. Poza tym zarządzenie nie wzbudzi podejrzeń u Chińczyków i postawi ich w niekorzystnej sytuacji. Za trzy dni ma się odbyć kolejne spotkanie z Ti-senem. Longstaff zgodził się ze mną całkowicie i poprosił, żebym zachował całą sprawę w tajemnicy.

Twarz Robba rozpodziła się.

– Och, Tai-panie, jesteś niezrównany! – wykrzyknął. – Ale jaką masz gwarancję, że Longstaff odwoła zarządzenie?

W kieszeni Struana spoczywała podpisana, datowana sześć dni naprzód proklamacja odwołująca zarządzenie w sprawie opium. Longstaff kazał mu ją przechować.

– Proszę, Dirk, niech pan ją weźmie teraz, żebym nie zaprzętała sobie nią głowy – powiedział mu. – Do diaska! Cała ta papierkowa robota – okropność, sam pan rozumie. Ale tymczasem proszę zachować to w tajemnicy.

– Nie odwołałbyś takiego głupiego zarządzenia, Robb? – spytał Struan.

– Pewnie, że tak. – Robb z chęcią uściskałby brata. – Jeżeli to jest sześć dni i na pewno nikt o tym nie wie, zbijemy majątek.

– Owszem.

Struan powędrował wzrokiem po zatoce. Odkrył ją dwadzieścia kilka lat temu. Daleko w morzu zahaczył go swoim skrzydłem tajfun i mimo że był przygotowany do burzy, nie zdołał uciec i został zagnany bezlitośnie do lądu. Jego statek pędził z nagimi masztami, zalewany obficie przez fale, a horyzont i niebo przesłaniały połacie wody, które Wszechpotężne Wichry zagarnęły z oceanu i toczyły przed sobą. Kiedy znalazł się blisko brzegu, wśród potwornych wodnych gór, kotwice sztormowe zerwały się, i pojął, że porwany przez fale i ciśnięty na brzeg statek jest stracony. Wówczas jakimś cudem wiatr skręcił o ułamek stopnia i pomiędzy skałami zapędził statek w wąski, nieoznaczony na mapie, mający zaledwie trzysta jardów szerokości kanał między wschodnim cyplem Hongkongu a lądem. i dalej, do znajdującej się za nim zatoki. Na spokojne wody.

Tajfun ów poczynił spustoszenie we flocie handlowej w Makau i zatopił dziesiątki tysięcy dżonek tam i na całym południowym wybrzeżu Chin. Ale Struan i dżonki, które schroniły się przy Hongkongu, znieśli go zupełnie dobrze. Kiedy ucichł sztorm, Struan opłynął wyspę, badając warunki żeglugi. Zdobyte wiadomości zachował dla siebie i po cichu zaczął snuć plany.

Nareszcie jesteś nasza, wyspo, a więc mogę stąd wyjechać – pomyślał z rosnącym podnieceniem. – Pora na parlament.

Od lat wiedział, że tylko w Londynie może ochraniać Noble House i nową kolonię. Prawdziwym ośrodkiem ziemskiej władzy był bowiem parlament. Jako jego członek, wsparty potęgą wielkich bogactw, jakich dostarczał Noble House, mógł mieć decydujący wpływ na politykę zagraniczną w Azji, tak jak zdobył decydujący wpływ na Longstaffa. Tak jest.

Za kilka tysięcy funtów uzyskasz miejsce w parlamencie – powiedział sobie. – Koniec z pośrednikami. Odtąd będziesz mógł załatwiać wszystko sam. Tak jest, nareszcie, bracie. A za kilka lat – szlachectwo. A potem członkostwo w rządzie.

A później, później, dalibóg, wyznaczysz bieg spraw w Azji dla imperium i dla Noble House, który przetrwa tysiąclecie.

Robb przyglądał się bratu. Wiedział, że zapomniał o nim, ale się tym nie przejął. Lubił go obserwować, gdy myślami był daleki. Kiedy twarz Tai-pana łagodniała, w jego oczach przygasła lodowata zieleń, a w głowie kłębiło się od marzeń, do których on, Robb, nie będzie miał, jak dobrze wiedział, dostępu, wówczas brat stawał mu się bardzo bliski i czuł się bardzo bezpiecznie.

– Za pół roku zastąpisz mnie jako Tai-pan – przerwał milczenie Struan.

– Nie, nie jestem gotów – zaprotestował Robb, czując skurcz w żołądku.

– Jesteś gotów. Obronić nas i Hongkong mogą tylko w parlamencie.

– Tak – przyznał Robb, po czym dodał, starając się mówić spokojnym tonem: – Ale miałeś to zrobić w przyszłości... za dwa albo trzy lata. Musimy tu jeszcze tyle załatwić!

– Poradzisz sobie.

– Nie.

– Poradzisz. Sara jest o tym przekonana.

Robb spojrział na „Spokojną Chmurę”, ich stacjonarny statek, gdzie czasowo mieszkała jego żona z dziećmi. Był świadom, że Sara ma względem niego zbyt wygórowane ambicje.

– Nie chcę jeszcze tego stanowiska. Mamy mnóstwo czasu – rzekł.

Struan zadumał się nad czasem. Nie żałował lat spędzonych na Wschodzie, z dala od ojczyzny. Z dala od żony Ronaldy i dzieci: Culuma, Iana, Lechiego i Winifred. Chciałby mieć ich przy sobie, ale Ronaldy nie cierpiała Dalekiego Wschodu. Pobrali się w Szkocji – on miał dwadzieścia lat, a ona szesnaście – i zaraz potem wyjechali do Makau. Jednakże ona nienawidziła podróży morzem i nie znosiła Makau. Ich pierwszy syn zmarł przy porodzie, a w rok później urodził się im drugi syn, Culum, który również zachorował. Dlatego też Struan odesłał rodzinę do kraju. Co trzy, cztery lata płynął tam na urlop. Spędzał z nimi w Glasgow miesiąc, dwa i wracał na Wschód, bo było tam huk roboty i musiał rozwijać Noble House.

Nie żałuję ani jednego dnia – powiedział sobie w duchu. – Nawet jednego. Mężczyzna musi wyjechać w świat, żeby zrobić z niego

i z siebie, co potrafi. Czyż nie po to człowiek żyje? Chociaż RONALDA jest śliczna, a ja kocham dzieci, mężczyzna musi robić to, co do niego należy. Czyż nie po to się rodzimy? Gdyby dziedzic dóbr Struanów nie zabrał wszystkich posiadłości ziemskich klanu, nie ogrodził ich, a nas nie wyrzucił – nas, swoich krewnych, uprawiających tę ziemię od pokoleń – to zostałbym dzierżawcą, tak jak przede mną mój ojciec. Nie inaczej – i byłbym zadowolony ze swojego losu. Lecz on wypędził nas do cuchnącej dzielnicy ruder w Glasgow, przywłaszczył sobie wszystkie posiadłości, żeby zostać hrabią Struanem, i rozbił klan. Właśnie dlatego o mało co nie umarliśmy z głodu, a ja zaciągnąłem się do marynarki – dżos nas ocalił i teraz cała rodzina jest zamożna. Wszyscy jej członkowie. Ponieważ zaciągnąłem się do marynarki. I ponieważ powstał Noble House.

Struan bardzo szybko zrozumiał, że pieniądze dają władzę. I zamierzał użyć swojej władzy do zniszczenia hrabiego Struana oraz odkupienia ziem rodowych. Nie żałował w życiu niczego. Znalazł Chiny, a Chiny dały mu to, czego nie mogła dać ojczyzna. Nie samo bogactwo – bogactwo samo w sobie było nieprzyzwoitością – ale i bogactwo, i cel wzbogacenia się. Miał wobec Chin dług do spłacenia.

Dlatego wiedział, że chociaż pojedzie do kraju, zostanie członkiem parlamentu, ministrem w rządzie, zrujnuje hrabiego Struana i na trwałe osadzi Hongkong jako perłę w koronie Brytanii, to jednak w końcu tu wróci. Bo na realizację jego prawdziwego celu, tajonego przed innymi, a najczęściej również przed sobą samym, potrzeba było wielu lat.

– Czasu nigdy nie jest za wiele – odparł, spoglądając na królującą nad wyspą górę. – Nazwiemy ją Pikiem – rzekł z roztargnieniem i raptem znowu wydało mu się, że ta wyspa go nienawidzi i chce jego śmierci. Wyczuwał otaczającą go nienawiść i zdumiony zadawał sobie pytanie: „Dlaczego?”. – Za pół roku pokierujesz Noble House – powtórzył chrapliwie.

– Nie mogę. Nie sam.

– Tai-pan zawsze działa sam. W tym tkwi radość i niedola tego stanowiska – rzekł Struan i spoglądając ponad ramieniem brata, spostrzegł zbliżającego się bosmana. – Słucham, panie McKay?

– Przepraszam, panie Struan. Wolno rozdzielić rum? – spytał McKay, krępy, mocno zbudowany marynarz z cienkim jak mysi ogon pociągniętym dziegiem harcapem.

– Tak. Podwójną porcję dla całej załogi. Załatwcie wszystko, jak ustaliliśmy.

– Tak jest – odparł McKay i śpiesznie odmaszerował.

Struan ponownie obrócił się do brata. Robb widział w nim tylko jego niesamowite zielone oczy, mając wrażenie, że go oświetlają.

– Pod koniec roku przyślę tu Culuma. Do tego czasu skończy uniwersytet – powiedział Struan. – Ian i Lechie zaciągną się do marynarki, a potem przyjdzie kolej na nich. Do tego czasu zdąży już dorosnąć twój synek Roddy. Dzięki Bogu mamy dość synów na następców. Tai-pan zawsze sam decyduje, kto i kiedy ma go zastąpić. – Zdecydowanie obrócił się plecami do Chin na łódzie i dodał: – Sześć miesięcy.

Odszedł.

Robb przypatrywał się bratu, nagle znienawidziwszy jego, siebie i tę wyspę. Był przekonany, że zawiedzie jako Tai-pan.

– Napijcie się z nami, panowie? – spytał Struan gromadkę kupców. – Wypijecie za naszą nową ziemię? Mamy koniak, rum, piwo, wytrawne wino, whisky i szampana.

Wskazał na swój barkas, z którego marynarze wyładowywali beczułki i zastawiali stoły jedzeniem. Inni uginali się pod ciężarem niesionego pieczystego: kur, świńskich zadów, dwudziestu prosiąt, boku wołu oraz bochenków chleba, pasztetów, mis z zimną kapustą gotowaną na szynkowym tłuszczu, kilkudziesięciu wędzonych szynek, kiści kantońskich bananów, placków z konfiturami, pięknych kielichów, cynowych dzbanów, a nawet cebrów z lodem do chłodzenia szampana, przywiezionym z północy lorszami i klipami.

– Śniadanie dla wszystkich głodnych.

Krzyknięto na wiwat i kupcy zaczęli się gromadzić przy stołach. Kiedy wszyscy mieli już w ręku kielichy bądź kufle, Struan wznosił swój i powiedział:

– Wznoszę toast, panowie.

– Napiję się z tobą, ale nie za tę zapowietrzoną skałę. Wypiję za twój upadek – rzekł Brock, wznosząc kufel z piwem. – A zresztą po namyśle napiję się i za tę twoją małą skałę. Nazwę ją „Głupotą Struana”.

– Owszem, rzeczywiście jest dość mała – przyznał Struan. – Ale wystarczy na niej miejsca dla Struana i reszty kupców. Inna rzecz, czy zmieścimy się na niej my dwaj.

– Odpowiem ci na to z miejsca, chłopie: na to są za małe całe Chiny – odparł Brock, wypił swój kufel i cisnął nim w głąb wyspy, a potem dumnym krokiem odszedł do swojej łodzi.

Część kupców podażyła za nim.

– Na honor, cóż za okropne maniery – odezwał się Quance i po chwili zawołał wśród śmiechu: – Nuże, Tai-panie, spełnijmy ten toast! Pan Quance ma nieśmiertelne łaknienie! Zapiszmy się w historii!

– Przepraszam, panie Struan – rzekł Horatio Sinclair. – Ale czy przed spełnieniem toastu nie godziłoby się podziękować Bogu za dobrodziejstwa, którymi nas dziś obdarzył?

– Ależ oczywiście, chłopcze. To głupio z mojej strony, że o tym zapomniałem. Poprowadzisz modlitwę?

– Jest wśród nas wielbny pastor Mauss, panie Struan.

Zaskoczony tym Struan nie odpowiedział od razu. Przyjrzał się uważnie młodzieńcowi, doceniając prawdziwy humor, który czaił się w jego niebieskoszarych oczach.

– Pastorze Mauss, gdzie pan jest? – spytał donośnie. – Zmówmy modlitwę.

Mauss górował wzrostem nad kupcami. Z ociąganiem wystąpił przed stół i postawił na nim pusty kielich, udając, że wcale go nie napełniał. Zebrani zdjęli kapelusze i z odkrytymi głowami czekali na zimnym wietrze.

Na brzegu było cicho. Struan przeniósł wzrok z podgórza na skalne wzniesienie, gdzie miał stanąć kościół. W wyobraźni widział ten kościół, miasto, nabrzeża, składy, domy i ogrody. Swoją siedzibę, która stanie się dworem wielu pokoleń tai-panów. Inne domy dla starszyny przedsiębiorstwa i ich rodzin. I domy dla ich dziewcząt. Pomyślał o swojej obecnej kochance, Cz’ung Żen Mei-mei, którą jako piętnastoletnią dziewczę kupił przed pięcioma laty.

Ajiii ja – powiedział w duchu uradowany, używając jednego z jej kantońskich wyrażeń, które oznaczało zadowolenie, gniew, oburzenie, szczęśliwość lub bezradność, zależnie od tonu, jakim je wymówiono. – Trudno o bardziej fantastyczną, żywiołową i niezależną dziewczynę.

– Miłosierny Boże srogich wiatrów, przybrzeżnych fal i cudu miłości, Boże wielkich statków, Gwiazdy Północnej i piękna ojczyzny, Boże i Ojczyźnie dzieciątka Jezus, spójrz na nas i zlituj się nad nami. – Zamknawszy oczy, Mauss uniósł ręce w górę. Jego dźwięczny, pełen dojmującej tęsknoty głos porywał słuchaczy. – Jesteśmy synami człowieczymi, których ojcowie martwili się o nas, tak jak Ty się martwiłeś o swojego błogosławionego syna, Jezusa Chrystusa. Święci są krzyżowani na tej ziemi, a grzesznicy się mnożą. Spoglądamy na urodziwy kwiat i nie widzimy w nim Ciebie. Ostajemy się Wszechpotężnym Wiatrem i nie poznajemy Ciebie. Przemierzamy olbrzymie oceany i nie postrzegamy Ciebie. Zbieramy płody ziemi i nie dotykamy Ciebie. Jemy i pijemy, a jednak nie smakujemy Ciebie. Jesteś tym wszystkim i czymś więcej. Jesteś życiem, śmiercią, pomyślnością i niepowodzeniem. Jesteś Bogiem, a my ludźmi...

Zamilkł z wykrzywioną twarzą, zmagając się ze swoją udręczoną duszą. O Boże, przebac mi moje grzechy – myślał. – Pozwól mi zmazać moją słabość przez nawracanie pogan. Pozwól mi być męczennikiem Twojej Świętej Sprawy. Zmień mnie z takiego, jakim jestem, w takiego, jakim byłem...

Wiedział jednak, że odkąd zaczął służyć Struanowi, nie ma dla niego odwrotu, Stracił spokój i pochłoneły go potrzeby ciała. Boże mój – myślał – przecież na pewno postąpiłem słusznie. Jakże inaczej mogłem wejść do Chin?

Otworzył oczy i rozejrzał się bezradnie.

– Przepraszam. Wybaczcie mi – powiedział. – Brak mi słów odpowiednich do modlitwy. Widzę je – wspaniałe słowa, dzięki którym poznajecie Go takim, jakim ja Go kiedyś znałem – ale nie wolno mi już ich wypowiadać. Wybaczcie. O Panie, pobłogosław tej wyspie. Amen.

Struan wziął kieliszek napełniony whisky i podał go Maussowi.

Moim zdaniem powiedział pan to znakomicie – rzekł. – Panowie, wypijmy za naszą królową!

Wypili, a kiedy opróżnili kieliszki, Struan polecił napełnić je znowu.

– Za pańskim pozwoleniem, komandorze Glessing – powiedział. – Chciałbym poczęstować kielichem pańskich żołnierzy. I pana naturalnie. Wznieść toast za najnowszą posiadłość naszej królowej. Przeszedł pan dziś do historii. Powinniśmy uhonorować pana komandora! – zawołał do kupców. – Nazwijmy to wybrzeże Cyplem Glessinga.

Ryknięto z aprobatą.

– Nazwanie wysp lub ich części wymaga uprzedniej zgody dowódcy – oświadczył Glessing.

– Wspomnę o tym jego ekscelencji.

Glessing skinął nieznacznie głową i rozkazał oschle dowódcy żandarmerii okrętowej:

– Marynarze po kieliszku, na prośbę firmy Struan i Spółka. Żołnierze nie piją. Spocznij.

Choć był wściekły na Struana, nie potrafił powstrzymać radosnej myśli, że jak długo będzie istnieć kolonia Hongkong, tak długo będzie się pamiętać jego nazwisko. Bo Struan nigdy nie rzucał słów na wiatr.

Wypito toast za Hongkong i trzykrotnie krzyknięto na wiat. A wówczas Struan skinął głową dudziarzowi i plażę wypełniły piskliwe dźwięki hymnu klanu Struanów.

Robb nie pił nic. Struan popijał koniak i przechadzał się wśród tłumu, witając się z tymi, z którymi chciał się przywitać, a innych pozdrawiając skinieniem głowy.

– Nie pijesz, Gordon? – zagadnął Eurazjatę.

– Nie, dziękuję, panie Struan – odparł Gordon Czen, kłaniając się nisko, bardzo dumny z tego, że został zauważony.

– Jak ci się powodzi?

– Doskonale, proszę pana, dziękuję.

Chłopak wyrósł na pięknego młodzieńca – pomyślał Struan. – Ile ma już lat? Dziewiętnaście. Czas tak szybko leci.

Z czułością przypomniał sobie matkę chłopca Kaž-sung. Była jego pierwszą i najpiękniejszą kochanką. Ajii ja, wiele cię nauczyła – pomyślał.

– A jak tam twoja matka? – spytał.

– Ma się doskonale – odparł z uśmiechem Gordon Czen. – Pragnęła, abym przekazał panu, że modli się za pańskie bezpieczeństwo. Co miesiąc zapala w świątyni na pańską cześć trociczki dżosu.

Struan ciekaw był, jak też ona teraz wygląda. Nie widział jej siedemnaście lat. Ale doskonale pamiętał jej twarz.

– Przekaż jej moje najlepsze życzenia.

– To dla niej zbyt wielki zaszczyt, panie Struan.

– Czen Szeng mówi mi, że jesteś bardzo pracowity i ma z ciebie wiele pożytku.

– Jest dla mnie zbyt łaskawy, proszę pana.

Czen Szeng nigdy nie był łaskawy dla nikogo, kto zarabiał za ledwie na swoje utrzymanie. Czen Szeng to stary złodziej – pomyślał Struan – ale dalibóg, bez niego bylibyśmy zgubieni.

– No w każdym razie trudno o lepszego nauczyciela od niego – powiedział. – W nadchodzących miesiącach będzie masa roboty. Dużo łapówek do zarobienia.

– Mam nadzieję, że się przydam Noble House, proszę pana.

Struan wyczuł, że syn ma do niego jakąś sprawę, ale skinął mu tylko głową z sympatią i odszedł, wiedząc, że Gordon znajdzie sposób, aby mu o tym powiedzieć we właściwym czasie.

Gordon Czen uklonił się i po chwili podszedł do jednego ze stołów, gdzie odczekał grzecznie, aż zrobi się wolne miejsce, świadom ludzkich spojrzeń, lecz nie dbając o nie. Wiedział bowiem, że dopóki Struan jest Tai-panem, jemu nic nie grozi.

Rozproszeni na brzegu kupcy i marynarze rękami rozrywali kurczaki i prosięta na kawałki i opychali się mięsem, a po brodach ściekał im tłuszcz. Co za banda dzikusów – pomyślał Gordon Czen

i podziękował swojemu dżosowi, że wychowano go po chińsku, a nie europejsku.

Tak – dodał w duchu – miałem ogromny dżos. Przed kilkoma laty dżos obdarzył go tajnym chińskim Nauczycielem. Nie wspomniał o nim nikomu, nawet matce. Właśnie od niego dowiedział się, że nie wszystkie nauki pastorów Sinclaira i Maussa są konieczne prawdą. Dowiedział się też o Buddzie, Chinach i o ich przeszłości. A także jak spłacić podarunek z życia i spożytkować go na chwałę ojczyzny. Aż wreszcie zeszłego roku Nauczyciel wprowadził go do najpotężniejszego, najbardziej tajemniczego i wojowniczego z chińskich tajnych bractw: Hung Mun Tongu, które rozrosło się na całe Chiny i przenajświętszymi przysięgami braterstwa krwi zobowiązało do obalenia znenawidzonych Mandżurów, obcoplemiennych Cingów, dynastii władającej krajem.

Przez dwa wieki w różnych wcieleniach i pod rozmaitymi nazwami bractwo wzniecało powstania. Buntury wybuchały w całym Cesarstwie Chińskim – od Tybetu po Taiwan, od Mongolii do Indochin. Gdziekolwiek panował ucisk i niezadowolenie, tam Hung Mun zrzeszał chłopstwo przeciwko Cingom i ich mandarynom. Wszystkie powstania upadły okrutnie stłumione przez Cingów, ale bractwo przetrwało.

Gordon Czen czuł się zaszczycony, że jego, zaledwie w części Chińczyka, uznano za godnego bycia Hung Munem. Śmierć Cingom! Błogosławił swój dżos za to, że urodził się w tej epoce, w tej części Chin, z takiego ojca, bo wiedział, że całe Chiny prawie dojrzały do buntu.

I błogosławił też Tai-pana, bo ofiarował Hung Munowi bezcenną perłę: Hongkong. Nareszcie bractwo zdobyło dla siebie bazę nienarazoną na ciągłe prześladowania mandarynów. Na Hongkongu władzę sprawowali barbarzyńcy, dlatego był przekonany, że na tej małej wyspie jego bractwo rozkwitnie. Z Hongkongu mogli bezpiecznie i potajemnie robić wypadki na ląd i nękać Cingów, aż do Ostatecznego Zwycięstwa. A jeśli dżos pozwoli – pomyślał – jeśli dżos pozwoli, to zaprzęgnę do naszej sprawy potęgę Noble House.

– Spływaj stąd, parszywy żółtku!

Przestraszony Gordon Czen podniósł wzrok. Krępy, niski, zbirowaty marynarz świdrował go wzrokiem. W rękę trzymał zad prosięcia i wbijał w niego połamane zęby.

– Spływaj stąd, bo okręcę ci ten śmierdzący warkocz na szyi!

Pomiędzy nich wkroczył pośpiesznie bosman McKay i odepchnął marynarza na bok.

– Zamknij dziób, Ramsey, ty francowaty łachudro! – powiedział.

– Nie myślał nic złego, panie Czen.

– Tak. Dziękuję, panie McKay.

– Poje se pan? – spytał McKay i podał mu kurczaka, którego nadział na nóż.

Gordon Czen ostrożnie odłamał skrzydelko, przerażony barbarzyńskimi manierami bosmana.

– Dziękuję – odparł.

– Nie zje pan nic więcej?

– Nie. To najdelikatniejsza część. – Gordon uklonił się mu. – Jeszcze raz dziękuję – powiedział i odszedł.

McKay podszedł do marynarza.

– W porządku, bracie? – spytał.

– Powinienem ci za to, draniu, wyciąć twoje świńskie serce. To twoja chińska miłośnica, McKay?

– Mówże ciszej, człowieku! Tego Chińczyka nie wolno tykać. Chcesz się wyżyć na jakimś żółtym ancykryście, to masz kupę innych. Ale nie na nim, do diabła! To bękart samego Tai-pana, ot i cała rzecz.

– To czego, psia jego mać, nie nosi jakiego znaku albo nie łobetnie włosów? – Ramsey ściszył głos i łypnął okiem. – Podobnież one są inne – chińskie miłośnice. Inszej zbudowane.

– Nie wiem. Nie zbliżam się do tego tałatajstwa. W Makau mamy dość własnych.

Struan przyglądał się sampanowi kotwiczącemu przy brzegu. Była to mała łódź z przytulną kabiną z mat uplecionych z liści trzinopalmy rozpostartych na obręczach z bambusa. Rybak i jego rodzina byli ho-klo*, mieszkańcami łodzi, którzy całe życie spędzali na wodzie i bardzo rzadko schodzili na brzeg albo wcale. Spostrzegł na sampanie czworo dorosłych i ośmioro dzieci. Część z nich obwiązano w pasie linami umocowanymi do łodzi. Byli to z pewnością synowie. Córek nie przywiązywano, bo nie miały żadnej wartości.

– Jak pan myśli, panie Struan, kiedy będziemy mogli powrócić do Makau?

Struan obrócił się i uśmiechnął do Horatia.

– Mam wrażenie, że jutro, chłopcze – odparł. – Ale ty będziesz chyba potrzebny jego ekscelencji przy spotkaniu z Ti-senem. Trzeba będzie przedłożyć kolejne dokumenty.

– A kiedy ma być to spotkanie?

– O ile wiem, za trzy dni.

* Ho-klo – właściwie ogólna nazwa ludności zamieszkującej północno-wschodni Kwantung oraz południowy Fukien (przyp. tłum.).

– Jeżeli pański statek popłynie do Makau, czy mógłby pan prze-
wieźć moją siostrę? Biedna Mary już od dwóch miesięcy przebywa na
statku.

– Z przyjemnością – odrzekł Struan, zastanawiając się, jak by za-
reagował Horatio, dowiedziawszy się prawdy o Mary. On sam poznał
tę prawdę ponad trzy lata temu.

Przechadzał się wtedy po zatłoczonym targowisku w Makau, gdy
nagle jakiś Chińczyk wcisnął mu w rękę kartkę i umknął. Był to list
napisany po chińsku. Pokazał go Wolfgangowi Maussowi.

– To są wskazówki, jak dojść do jakiegoś domu, panie Struan – wy-
jaśnił Austriak. – A list brzmi: „Przez wzgląd na dobro Noble House
Tai-pan musi poznać nadzwyczajną wiadomość. Niech przyjdzie po-
tajemnie do bocznego wejścia o Godzinie Mały”.

– Kiedy jest ta Godzina Mały?

– To trzecia po południu.

– A gdzie jest ten dom?

Wolfgang wyjaśnił mu i dodał:

– Niech pan tam nie idzie, to pułapka. Proszę pamiętać, że za pań-
ską głowę wyznaczono nagrodę sto tysięcy liangów srebra.

– Ten dom nie leży w chińskiej dzielnicy – odparł Struan. – Za dnia
nie zastawiają pułapki. Niech pan zbierze załogę mojej łodzi. Jeżeli nie
wyjdę stamtąd zdrow i cały po godzinie, przyjdzie pan i mnie od-
szuka.

Tak więc poszedł, zostawiając Maussa i uzbrojoną obsadę łodzi
w pobliżu, gotowych w razie czego do akcji.

Dom stał w szeregu innych na cichej, wysadzaney drzewami ulicy.
Struan wszedł przez drzwi w wysokim murze i znalazł się w ogrodzie.
Czekała tam na niego chińska służąca. Była ubrana w schludne czarne
spodnie i kaftan, włosy miała upięte w kok. Ukłoniła mu się, a potem
gestem nakazała, żeby milczał i szedł za nią. Powiodła go przez ogród
do domu, wprowadziła po ukrytych schodach na górę, a tam do poko-
ju. Szedł za nią ostrożnie, przygotowany na kłopoty.

Pokój był bogato umeblowany, a na wyłożonych boazerią ścianach
wisały gobeliny. Stały w nim fotele, stół i chińskie meble z drewna
tekowego. Pachniało tu jakąś dziwną czystością, przywodzącą myśl
o delikatnym kadzidle.

Chinka podeszła do bocznej ściany w głębi i ostrożnie odsunęła
pasek boazerii. W ścianie znajdował się otwór do patrzenia. Zerknęła
przez niego, po czym gestem zaprosiła go, żeby zrobił to samo. Wiedział
o starym chińskim fortelu oszukania wroga polegającym na tym, żeby
ten przyłożył oko do otworu w ścianie, za którą czekał ktoś zaczajony

z igłą. Dlatego spojrzał przezeń z odległości kilku dobrych cali. Ale i tak widział sąsiedni pokój wyraźnie.

Była to sypialnia. Na łóżku leżał nagi otyły naczelný mandaryn Makau Wang Czu i chrapał. Obok niego spoczywała naga Mary. Ręce miała założone pod głowę i patrzyła w sufit.

Struan przyglądał się temu z fascynacją i zgrozą. Mary leniwym ruchem trąciła łokciem Wang Czu, rozbudziła go głaskaniem, roześmiała się i wdała z nim w rozmowę. Struan nie miał pojęcia, że dziewczyna mówi po chińsku, a znał ją lepiej niż ktokolwiek, z wyjątkiem jej brata. Zadzwoniła małym dzwonkiem, na co weszła służąca i pomogła mandarynowi w ubieraniu się. Wang Czu nie mógł się ubrać sam, bo nosił dziesięciocentymetrowe paznokcie, a na nich ochronne pochewki ozdobione drogimi kamieniami. Struan odwrócił się przepłniony wstrętem.

Z ogrodu dobiegł go nagle jazgot śpiewnych głosów, więc ostrożnie wyjrzał przez okno. Zbierali się tam strażnicy mandaryna Wanga. Z pewnością odcieliby mu odwrót. Służąca uspokoiła go gestem, dając znak, żeby zaczekał. Podeszła do stołu, nalała mu herbaty, ukloniła się i wyszła.

W pół godziny później strażnicy opuścili ogród i Struan ujrzał, jak ustawiają się na ulicy w szyku przed lektyką. Pomogli wsiąść do niej Wang Czu i ponieśli go.

– Witaj, Tai-panie.

Struan obrócił się błyskawicznie, wyciągając nóż. W ukrytych drzwiach w ścianie stała Mary. Narzuciła na siebie cienką jak pajęczyna szatę, która nie ukrywała niczego. Miała długie jasne włosy, niebieskie oczy i dołeczek na brodzie, długie nogi, cieniutką talię i małe jędrne piersi. Z szyi zwisał jej na długim łańcuszku beczenny rzeźbiony nefryt. Przyglądała się uważnie Struanowi z zaciekawionym nieruchomym uśmiechem.

– Możesz odłożyć nóż, Tai-panie. Nic ci tu nie grozi – powiedziała spokojnie kpiarskim tonem.

– Należałoby cię wychłostać – rzekł.

– Wiem wszystko o chłóście, czyżbyś zapomniał? – Wskazała gestem sypialnię. – Tam będzie nam wygodniej.

Podeszła do komody i nalała koniaku do dwóch kieliszków.

– O co chodzi? – spytała z tym samym przekornym uśmiechem. – Nigdy nie byłeś w sypialni dziewczyny?

– To znaczy w sypialni prostytutki?

Wziął od niej podany kieliszek.

– Jesteśmy do siebie podobni jak dwie krople wody, Tai-panie. Oboje wolimy sypiać z chińskimi kochankami.

– Dalibóg, ty nikczemna dziwko, ty...

– Nie odgrywaj hipokryty, Tai-panie, to ci nie przystoi. Jesteś żonaty i masz dzieci. A jednak przy tym wiele innych kobiet. Wiem o nich wszystko. Zadałam o to, żeby się dowiedzieć.

– To niemożliwe, żebyś ty była Mary Sinclair – rzekł na wpół do siebie.

– Niemożliwe? Bynajmniej. Zaskakujące, na to zgoda. – Łyknęła spokojnie koniaku. – Posłałam po ciebie, bo chciałam, żebyś się dowiedział, jaka jestem.

– Dlaczego?

– Najpierw odpraw swoich ludzi.

– Skąd o nich wiesz?

– Jesteś bardzo ostrożny. Tak jak ja. Nie przyszedłbyś tu potajemnie bez obstawy – odparła, spoglądając na niego z kpina.

– Co zamierzasz?

– Jak długo kazałeś czekać swoim ludziom?

– Godzinę.

– Zajmę ci więcej czasu. Odpraw ich. – Zaśmiała się. – Poczekam.

– Spróbowałabyś nie poczekać! I włóż coś na siebie.

Wyszedł z domu Mary i nakazał Maussowi czekać jeszcze dwie godziny, a potem wejść i odszukać go. Powiedział mu o ukrytych drzwiach, ale nie o Mary.

Kiedy wrócił, Mary leżała na łóżku.

– Proszę, zamknij drzwi, Tai-panie – powiedziała.

– Kazałem ci coś na siebie włożyć.

– Kazałam ci zamknąć drzwi.

Zatrzasnął je gniewnie. Mary zdjęła przejrzystą szatę i odrzuciła na bok.

– Podobam ci się? – spytała.

– Nie. Budzisz we mnie obrzydzenie.

– A ty we mnie nie, Tai-panie. Jesteś jedynym mężczyzną na świecie, którego wielbię.

– Żeby cię tak teraz zobaczył Horatio.

– A, Horatio... – odrzekła zagadkowo. – Jak długo tym razem kazałeś czekać swoim ludziom?

– Dwie godziny.

– Powiedziałeś im o ukrytych drzwiach. Ale nie o mnie.

– Skąd jesteś taka pewna?

– Bo cię znam, Tai-panie. Właśnie dlatego zawieram ci moją tajemnicę. – Spuściła wzrok, bawiąc się kieliszkiem. – Czy kiedy spojrzaleś przez dziurkę, już skończyliśmy?

- Na rany Chrystusa! Lepiej byś...
- Bądź dla mnie wyrozumiały, Tai-panie. Skończyliśmy?
- Tak.
- Cieszę się. Cieszę się i żałuję. Chciałam, żebyś nie miał najmniejszych wątpliwości.
- Nie rozumiem.
- Chciałam, żebyś nie miał najmniejszych wątpliwości, że Wang Czu jest moim kochankiem.
- Dlaczego?
- Bo mam wiadomość, którą możesz wykorzystać. Nigdy byś mi nie uwierzył, gdybyś nie zobaczył na własne oczy, że jestem jego kochanką.
- Jaką wiadomość?
- Mam mnóstwo wiadomości, które możesz wykorzystać, Tai-panie. Mam wielu kochanków. Czasem odwiedza mnie Czen Szeng. Wielu mandarynów z Kantonu. Kiedyś był tu stary Żin-cia. – Jej oczy złodowaciały i jakby zmieniły kolor. – Nie brzydzę się nimi. Podoba im się kolor mojej skóry i dogadzam im. Muszę ci o tym wszystkim powiedzieć, Tai-panie. Spłacam tylko mój dług wobec ciebie.
- Jaki dług?
- Dzięki tobie przestano mnie bić. Zrobiłeś to za późno, ale to nie twoja wina. – Mary wstała z łóżka i nałożyła grubą szatę. – Nie będę ci już dokuczać. Wysłuchaj mnie, proszę, a potem zrobisz, co zechcesz.
- O czym chcesz mi powiedzieć?
- Cesarz mianował nowego namiestnika Kantonu. Namiestnik Ling wiezie z sobą cesarski edykt w sprawie likwidacji przemytu opium. Przybędzie za dwa tygodnie, a za trzy otoczy waszą Kolonię w Kantonie. Żaden Europejczyk nie zostanie wypuszczony z Kantonu, dopóki nie oddacie całego opium.
- Struan roześmiał się lekceważąco.
- Nie wierzę – oświadczył.
- W razie oddania przez was i zniszczenia opium, każdy, kto będzie je miał poza Kantonem, zarobi krocie – powiedziała Mary.
- Nie oddamy go.
- A co, jeśli od wszystkich w Kolonii zażądają okupu z opium? Co wtedy zrobicie? Nie macie tu okrętów wojennych. Jesteście bezbronni. Prawda?
- Tak.
- Wyślij do Kalkuty statek, żeby w dwa miesiące po przypłynięciu zakupił tyle opium, ile będzie w stanie. Jeżeli moje informacje są fałszywe, będziesz miał dość czasu, żeby odwołać to polecenie.

- To Wang ci o tym powiedział?
- Tylko o namiestniku. Reszta to mój domysł. Chcę spłacić swój dług wobec ciebie.
- Nic mi nie jesteś winna.
- Ciebie nigdy nie chłostano.
- Czemu nie przysłałaś kogoś, żeby powiedział mi to w tajemnicy? Czemu mnie tu sprowadziłaś? Żebyś cię zobaczył w takim stanie? Dlaczego zmusiłaś mnie do oglądania tej... tej ohydy?
- Chciałam ci o tym powiedzieć sama. Osobiście. Chciałam, żeby ktoś jeszcze oprócz mnie wiedział, kim jestem. Tylko tobie jednemu ufam – wyznała z niespodziewaną dziecinną szczerością.
- Oszalałaś. Należałoby cię zamknąć.
- Dlatego, że lubię się puszczać z Chińczykami?
- Na rany Chrystusa! Czy ty nie rozumiesz, kim jesteś?
- Rozumiem. Hańbą dla Anglii. – Gniew, którym zapłonęła, zaostrzył jej rysy i dodał lat. – Wy mężczyźni robicie, co tylko chcecie, a nam kobietom tego nie wolno. Dobry Boże, a jakże ja mogę iść do łóżka z Europejczykiem? Jeden z drugim nie mógłby się doczekać, żeby opowiedzieć o mnie innym i osławić przed wszystkimi. A tak nikomu nie dzieje się krzywda. Z wyjątkiem być może mnie samej, ale mnie skrzywdzono i tak wiele lat temu.
- Co?
- Powinieneś znać życiową prawdę, Tai-panie. Kobieta pożąda mężczyzn równie silnie jak mężczyzna kobiet. Czemu mamy zadowalać się jednym kochankiem? Dlaczego?
- Długo to już trwa?
- Od kiedy skończyłam czternaście lat. Coś taki zgorszony?! Ile lat miała Mei-mei, kiedy ją kupiłeś?
- To co innego.
- Dla mężczyzn jest to zawsze co innego. – Mary usiadła przy stoliku pod lustrem i zaczęła czesać włosy. – Brock potajemnie układa się z Hiszpanami w Manili w sprawie tegorocznego cukru – powiedziała. – Zaproponował Carlosowi de Silverze dziesięć procent za monopol.
- Struana zalała fala wściekłości. Gdyby Brockowi udał się ten numer z cukrem, to opanowałby cały filipiński rynek!
- Skąd o tym wiesz? – spytał.
- Od jego faktora Sze-tsina.
- To także twój... klient?
- Tak.
- Masz mi jeszcze coś do powiedzenia?

– Na moich informacjach możesz zarobić sto tysięcy liangów srebra.

– Skończyłaś?

– Tak.

Struan wstał.

– Co zamierzasz zrobić?

– Powiedzieć twojemu bratu. Trzeba cię będzie odesłać do Anglii.

– Pozwól mi żyć tak, jak żyję, Tai-panie. Podoba mi się być taką, jaka jestem, i nigdy się nie zmienię. Tylko kilku Chińczyków wie, że mówię dialektem kantońskim i mandaryńskim, a z Europejczyków nikt oprócz Horatia, no i teraz ciebie. Ale tylko ty wiesz, kim jestem naprawdę. Przysięgam ci, że bardzo, ale to bardzo ci się przydam.

– Popłyniesz do kraju, wyjedziesz z Azji.

– Mój kraj to Azja – odparła, marszcząc czoło, a jej spojrzenie jakby złagodniało. – Proszę, pozwól mi być sobą. Nic się nie zmieniło. Dwa dni temu spotkaliśmy się na ulicy i byłeś dla mnie taki miły. Przecież jestem tą samą Mary.

– Nie jesteś tą samą. Nazywasz to wszystko niczym?

– Każdy jest zarazem kimś innym. Z jednej strony jestem taka, a ta druga dziewczyna – miłe dziewczę niewiniątka, które głupio paple, uwielbia kościół, klawesyn, śpiew i robótki ręczne – to także ja. Nie wiem czemu, ale to prawda. Jesteś Tai-panem Struanem – czartem, przemytnikiem, księciem, mordercą, mężem, cudzołożnikiem, świętym i setką innych ludzi. Który z nich to prawdziwy ty?!

– Nic nie powiem Horatiowi – postanowił. – Po prostu wyjedziesz do kraju. Dam ci pieniądze.

– Mam dość pieniędzy, żeby samej opłacić taką podróż, Tai-panie. Płacą mi wieloma prezentami. Do mnie należy ten dom i sąsiedni. Pojadę, kiedy zechcę, i tak, jak mi się spodoba. Proszę więc, zostaw mnie mojemu dżosowi. Jestem, jaka jestem, i nic na to nie poradzisz. Kiedyś mogłeś mi pomóc. Nie, to też nieprawda. Nikt mi nie mógł pomóc. Dobrze mi z tym, jaka jestem. Przysięgam, że nigdy się nie zmienię. Pozostanę sobą: albo potajemnie – i nikt o tym nie będzie wiedział prócz nas dwojga – albo otwarcie. Więc po co ranić innych? Po co ranić Horatia?

Struan spuścił na nią wzrok. Był pewien, że nie żartuje.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co ci grozi? – spytał.

– Tak.

– A co będzie, jeśli zajdziesz w ciążę?

– Niebezpieczeństwo to sól życia, Tai-panie. – Rzuciła mu mroczne, przenikliwe spojrzenie. – Jednego tylko żałuję w tym, że cię tu

sprowadziłam. Tego, że już nigdy nie zostanę twoją. A chciałabym być twoja.

Struan zostawił ją własnemu dżosowi. Miała prawo żyć tak, jak chciała, a demaskowanie jej przed tutejszą społecznością nic by nie załatwiło. Co gorsza, zniszczyłoby przywiązanego do niej brata.

Wykorzystał jej informacje z wielkim dla siebie zyskiem. Dzięki Mary zdobył tego roku dla Noble House niemal całkowity monopol na handel opium i z naddatkiem odbił sobie koszty swojego udziału w okupie – który wyniósł dwanaście tysięcy skrzynek – nałożonym na Kolonię w Kantonie. Wiadomość Mary o Brocku też okazała się prawdziwa, tak więc zniweczył jego plany. W Anglii otworzył jej tajne konto, na które wpłacił procent od swoich zysków. Podziękowała mu, ale nie wykazała zainteresowania tymi pieniędzmi. Niekiedy przekazywała mu nowe informacje. Ale nigdy nie wyjawiała mu, jak zaczęła wieść podwójne życie ani dlaczego. Boże w niebiesiech – pomyślał – nigdy nie zrozumie ludzi...

Teraz zaś, stojąc na brzegu zatoki, zastanawiał się, co zrobiłby Horatio, gdyby się o tym dowiedział. Niemożliwe, żeby Mary zdołała utrzymać swoje drugie życie w tajemnicy – kiedyś przecież musiała popełnić błąd.

– Co się stało, panie Struan? – spytał Horatio.

– Nic, chłopcze. Zamyśliłem się.

– Pański statek odpływa dziś czy jutro?

– Słucham?

– Kiedy płynie do Makau – dodał Horatio ze śmiechem. – Kiedy zabierze do Makau Mary.

– Aha, Mary. – Struan skupił się. – Prawdopodobnie jutro. Dam ci znać, chłopcze.

Utorował sobie drogę wśród kupców, zmierzając do Robba, który stał przy jednym ze stołów i wpatrywał się w morze.

– I co dalej, panie Struan? – zawołał Skinner.

– Z czym?

– Mamy wyspę. Co teraz robi Noble House?

– Pobuduje się oczywiście. Kto pobuduje się pierwszy, ten pierwszy na tym zyska, panie Skinner.

Struan życzliwie skinął głową dziennikarzowi i poszedł dalej. Zastanawiał się, co powiedzieliby inni kupcy – a nawet Robb – na wieść, że to on jest właścicielem gazety „Wschodnie Czasy”, a Skinner jego pracownikiem.

– Nie jesz, Robb? – spytał brat. – Później, Dirk. Mam czas.

– Herbaty?

– Dziękuję.

Podszedł do nich Cooper i podniósł w górę kielich.

– Za głupotę Struana? – spytał.

– Jeżeli tak jest, Jeff to wraz z nami wszyscy pójdziecie z torbami – odparł Struan.

– Właśnie. A skoro maczał w tym palce Struan, będą to bardzo kosztowne torby – dodał Robb.

– Noble House wszystko robi z fasonem! Doskonała whisky, koniak, szampan. I weneckie szkło. – Cooper postukał palcem w kieliszek, który wydał z siebie czysty dźwięk. – Przepiękne.

– Wyprodukowane w Birmingham. Odkryli tam właśnie nową metodę. Jedna huta już teraz wytwarza ich tysiąc tygodniowo. Za rok będzie z tuzin takich fabryk. – Struan na chwilę zamilkł. – Dostarczę panu do Bostonu każdą ich ilość. Po dziesięć centów amerykańskich za sztukę.

Cooper przyjrzał się kieliszkowi dokładnie.

– Dziesięć tysięcy. Po sześć centów – odrzekł.

– Po dziesięć. Brock policzyłby panu po dwanaście.

– Piętnaście tysięcy po siedem centów.

– Zgoda... z gwarancją na zamówienie trzydziestu tysięcy sztuk po tej samej cenie za rok od dzisiaj i z gwarancją, że będzie pan importował tylko za pośrednictwem Struanów.

– Zgoda... pod warunkiem że tym samym statkiem przewiezie pan z Nowego Orleanu do Liverpoolu ładunek bawełny.

– Ile ton?

– Trzysta. Na zwykłych warunkach.

– Zgoda, jeżeli zgodzi się pan być moim agentem w Kantonie przy zakupie tegorocznej herbaty. W razie konieczności.

Cooper natychmiast stał się czujny.

– Przecież wojna się skończyła – powiedział. – Po co panu agent?

– Umowa stoi?

W mózgu Coopera kłębiło się jak w garncu z mąką toczoną przez robaki. Traktat z Czuenpi zagwarantował bezzwłoczne otwarcie Kantonu dla handlu. Nazajutrz wszyscy kupcy wracali przecież do Kolonii, żeby znów tam zamieszkać. Z powrotem mieli objąć w posiadanie swoje faktorie, albo inaczej hongy, jak nazywano ich przedsiębiorstwa handlowe na Dalekim Wschodzie, i pozostać w nich aż do maja, kiedy kończył się okres zawierania transakcji. Ale starania Noble House, aby mieć swojego agenta w Kantonie, byłyby równie głupie jak twierdzenie, że Stanom Zjednoczonym potrzebna jest rodzina królewska.

– Umowa stoi, Jeff? – powtórzył Struan.
– Tak. Znowu spodziewa się pan wojny?
– Życie składa się przecież z samych kłopotów. Czyż nie to chciał powiedzieć Wolfgang?

– Nie wiem.

– Za ile będzie gotów pański nowy statek? – spytał zniecierpliwiony Struan.
Oczy Coopera zwięzły się:

– Jak pan się o nim dowiedział? – spytał. – Nie wie o nim nikt spoza naszej spółki.

Robb zaśmiał się.

– Mamy interes, żeby o tym wiedzieć, Jeff. Ten statek mógłby stanowić dla nas niekorzystną konkurencję. Jeżeli pływa tak, jak sądzi Dirk, to być może go panu podkupimy. Albo wybudujemy cztery takie jak on.

– Od kiedy to Anglicy kupują amerykańskie statki? – spytał zaniepokojony Cooper.

– Och, wcale nie musielibyśmy ich kupować, Jeff – rzekł Struan.
– Już mamy jego kompletne plany. Wybudowalibyśmy go tam gdzie zawsze: w Glasgow. Na pańskim miejscu pochyliłbym odrobinę jego maszty i dodałbym górne bramsle na grotmaszcie i stermaszcie. Jak pan go nazwie?

– „Niepodległość”.

– W takim razie nasz ochrzczimy „Niepodległa Chmura”. Jeżeli okaże się tego wart.

– Przegnamy was z morz. Dwa razy wygraliśmy z wami wojnę, a teraz uderzymy was w naprawdę bolesne miejsce. Odbierzemy wam handel.

– Nie macie najmniejszej szansy. – Struan spostrzegł, że Tillman odpływa, i dodał nieoczekiwanie ostrzejszym tonem: – I to nigdy, skoro połowa waszego kraju bazuje na niewolnictwie.

– Z czasem to się zmieni. Niewolnictwo wprowadzili Anglicy.

– Wprowadziły je szumowiny.

Tak, a szaleńcy przedłużają ten proceder – pomyślał z goryczą Cooper, przypominając sobie gwałtowne kłótnie, jakie toczył ze współnikami, którzy na plantacjach trzymał niewolników i handlował nimi.
– Jak Wilf może być taki zaślepiony?

– Przecież sam pan zajmował się tym jeszcze osiem lat temu – odpowiadał.

– Do diabła, Struanowie nigdy nie przewozili ludzkiego towaru! Bóg świadkiem, że zatopię każdy statek, który na tym przyłapie. Na brytyjskich wodach i poza nimi. Pierwsi daliśmy światu przykład. Za-

kazaliśmy niewolnictwa. Boże, wybacz nam, że czekaliśmy z tym aż do tysiąc osiemset trzydziestego trzeciego roku, ale zrobiliśmy to. Niech pan pamięta, każdy statek!

– W takim razie niech pan zrobi jeszcze coś. Wpłynie na to, żebyśmy mogli kupować opium u tej przeklętej Spółki Wschodnioindyjskiej. Dlaczego wszystkim, z wyjątkiem angielskich kupców, zamknięto dostęp do tych aukcji, co? Dlaczego zmusza się nas do kupowania tureckiego opium miernej jakości, kiedy tego z Bengalu starczy aż nadto dla wszystkich?

– Jak pan wie, zrobiłem więcej, niż należało, żeby zniszczyć Spółkę. Niechże wyda pan więcej pieniędzy, chłopcze. Odrobinę zaryzykuje. Poagituje w Waszyngtonie. Zdopinguje brata swojego współnika. Czyż nie jest on senatorem z Alabamy? A może jest zbyt zajęty pilnowaniem czterech łajb przewożących niewolników albo „rynków zbytu” w Mobile?

– Do diabła, dobrze pan wie, co ja o tym myślę! – odparował Cooper. – Otwórzcie aukcje dla wszystkich, a wyprzemy was z handlu. To jasne, że boicie się swobodnej konkurencji. Bo z jakiego powodu utrzymywaliście w mocy ustawy o żegludze? Po co ustanawialiście prawo, że tylko angielskim statkom wolno przywozić towary do Anglii? Jakim prawem zachowujecie wyłącznie dla siebie najchłonnniejszy rynek świata?

– Nie prawem boskim, panie bracie, którym, na to wygląda, przeziąknięte jest wasze myślenie i polityka zagraniczna.

– W jednych sprawach mamy rację, w innych się mylimy. Konkuruje z sobą na wolnej stopie. Przekłęte cła! Swobodny handel i swobodne morza, tylko to jest słuszne!

– W tym Struanowie zgadzają się z wami. Nie czyta pan gazet? Nie ukrywam, że kupujemy rocznie dziesięć tysięcy głosów, żeby poprzeć sześciu członków parlamentu, którzy głosują za wolnym handlem. Robimy wystarczająco dużo.

– Jeden głos, jeden człowiek. My nie kupujemy głosów.

– Wy macie swój system wyborczy, a my swój. I jeszcze coś panu powiem. Brytyjczycy nie opowiadali się za żadną z amerykańskich wojen. Ani za tymi przekłętymi hanowerskimi królami. Wy tych wojen nie wygraliście, to myje przegraliśmy. Na szczęście. Po co nam walczyć z krewnymi i znajomymi? Ale jeżeli lud z Wysp Brytyjskich postanowi kiedyś toczyć wojnę ze Stanami, to dalebóg strzeżcie się. Bo to będzie wasz koniec.

– Myślę, że trzeba za to wypić – wtrącił się do rozmowy Robb. Dwaj mężczyźni oderwali od siebie wzrok i wpatrzyli się w niego. Ku ich zaskoczeniu napełnił trzy kieliszki.

– Ty nie pijesz, Robb – oznajmił kategorycznie Struan.

– Napiję się. Po raz pierwszy na Hongkongu. I ostatni.

Robb podał im kieliszki. Tę złotobrazową whisky pędzono wyłącznie dla Noble House nad Loch Tannoch, gdzie się urodzili. Robb musiał się napić – koniecznie z tego antałka.

– Dałeś przenajświętsze słowo honoru!

– Wiem. Ale spełniać toast wodą to nieszczęście. A jest to ważny toast – odparł Robb. Kiedy podnosił kieliszek, trzęsła mu się ręka. – Piję za naszą przyszłość. Piję za „Niepodległość” i „Niepodległą Chmurę”. Za wolność na morzach. Za wolność od wszelkich ciemieców.

Pociągnął łyk i zatrzymał trunek w ustach, czując, jak go piecze i jak wnętrzności skręcają mu się z pokusy. A potem wypuł whisky, resztę zaś wylał na kamienie.

– Jeżeli zrobię to jeszcze raz, wytrąć mi go z ręki – powiedział. Odwrócił się, wymiotował i odszedł w głąb plaży.

– Mnie nie wystarczyłoby na to woli – rzekł Cooper.

– Robb jest szalony, że tak kusi los – powiedział Struan.

Robb zaczął pić do obłędu sześć lat temu. Rok wcześniej przyjechała ze Szkocji do Makau Sara z dziećmi. Przez jakiś czas wszystko układało się wspaniale, ale potem zwiedziła się o wieloletniej chińskiej kochance męża Ming Su i o ich córce. Struan pamiętał jej furie, uderkę Robba i żał mu było ich obojga. Przyszło mu na myśl, że powinni się byli rozwieść lata temu, i zżymał się na fakt, że rozwód można otrzymać jedynie za uchwałą parlamentu. Po jakimś czasie Sara zgodziła się wybaczyć mężowi, ale tylko pod warunkiem że przysięgnie przed Bogiem, iż natychmiast pozbędzie się uwielbianej kochanki i jej córki. Pełen wstrętu do siebie Robb przystał na to. Po kryjomu dał cztery tysiące liangów srebra Ming Su, a ta wraz z córką wyjechała z Makau. Nigdy już ich nie zobaczył ani więcej o nich nie usłyszał. Lecz chociaż Sara dała się przebłagać, nie zapomniała o pięknej Chin-ce i jej dziecku, stale dosypując soli do niegojącej się rany męża. Robb zaczął ostro pić. Wkrótce wpadł w zależność od trunku i nie trzeźwiał całymi miesiącami. Aż wreszcie któregoś dnia zniknął. Struan w końcu znalazł go w jednej z plugawych spelunek w Makau, odprowadził do domu i otrzeźwił – a potem wręczył mu pistolet.

– Zastrzel się albo przysięgnij na Boga, że więcej nie tkniesz alkoholu – oświadczył mu. – To dla ciebie trucizna, Robb. Nie trzeźwiałeś przez blisko rok. Pomyśl o swoich dzieciach. Biedne brzdące mają rację, że się ciebie boją. Mam już dość wyciągania cię z rynsztoków. Spójrz na siebie. No, tylko spójrz!

Zmusił go do spojrzenia w lustro. Kiedy brat złożył przysięgę, wysłał go na miesiąc w rejs, poleciwszy nie dawać mu alkoholu. Robb o mało co nie umarł. Po jakimś czasie znowu stał się sobą, podziękował bratu, znów zamieszkał z Sarą i starał się z nią pojednać. Ale pomiędzy nimi nie mogło już być pojednania – ani miłości. Biedny Robb – pomyślał Struan. – Tak. I biedna Sara. Strasznie żyć w takim stadle.

– Co go u diabła podkusiło? – powiedział.

– Zdaje się, że chciał nam przerwać sprzeczkę – odparł Cooper. – Poniosło mnie. Przepraszam.

– Nie ma pan za co przepraszać, Jeff. To moja wina – rzekł Struan i dodał: – Szkoda byłoby zmarnować poświęcenie Robba, prawda? Spełnimy jego toast?

Wypili w milczeniu. Zewsząd dobiegał ich hałaśliwy gwar biesiadujących nad brzegiem morza kupców i marynarzy.

– Hej, Tai-panie! I pan, przeklęty kolonisto! Chodźcie tutaj! – rozległ się okrzyk Quance’a, który siedział w pobliżu masztu. Przyzwał ich gestem ręki i znów zawołał: – Do diabła, chodźcie tutaj!

Zażył tabaki, dwakroć kichnął i otrząpał niecierpliwie ubranie koronkową chusteczką.

– Dalibóg, szanowny panie – przemówił do Struana, spoglądając na niego przez okulary bez oprawek. – Jakże człowiek może pracować w takim tłumie i wrzawie? I diabli nadali pana i pański trunek!

– Kosztował pan koniaku, panie Quance?

– Jest nienaganny, drogi przyjacielu. Tak jak cycuszki panny Tillman.

– Quance zdjął ze sztalugi malunek i podniósł go w górę. – Co pan o tym myśli?

– O Shevaun Tillman?

– O obrazie! Na wielkie beki sikacza, jak może pan myśleć o dziewczęńskim zadku w obliczu dzieła sztuki?!

Quance zażył jeszcze jeden niuch tabaki i zatkało go, więc pociągnął z kufła napoleona i kichnął.

Obraz był akwarelą przedstawiającą dzisiejszą uroczystość. Subtelną. Wierną. Lecz nie koniec na tym. Łatwo było rozpoznać na niej Brocka, Maussa i Glessinga z proklamacją w ręku.

– Jest doskonały, panie Quance – pochwalił go Struan.

– Pięćdziesiąt gwinei.

– Kupiłem od pana obraz w zeszłym tygodniu.

– Dwadzieścia.

– Mnie na nim nie ma.

– Pięćdziesiąt gwinei, a domaluję pana czytającego proklamację.

– Nie.

– Panie Cooper. Dzieło sztuki. Za dwadzieścia gwinei.

– Nie licząc Tai-pana i Robba, posiadam największą kolekcję dzieł Quance’a na Dalekim Wschodzie.

– A bodaj was, panowie, przecież muszę skądś zdobyć trochę pieniędzy!

– Niech pan go sprzeda Brockowi. Może pan do niego pojechać choćby zaraz – podsunął Struan.

– A bodaj go zaraza! – Quance pociągnął duży łyk koniaku i odezwał się szorstko: – Spławił mnie, przeklęty! – Maznął pędzlem i Brock zniknął. – Do diabła, czemu miałbym go unieśmiertelniać? A was dwóch też bodaj zaraza! Poślę ten obraz Królewskiej Akademii. Pańskim następnym statkiem, Tai-panie.

– A kto opłaci przewóz? I ubezpieczenie?

– Ja, kochaneczku.

– Czym?

Quance przypatrywał się akwareli. Był pewien, że nawet w podszłym wieku będzie mógł wciąż malować i doskonalić umiejętności, że nie zabraknie mu talentu.

– Czym, panie Quance? – powtórzył Struan.

Quance machnął po królewsku ręką.

– Pieniężmi – oświadczył. – Liangami. Forsą. Dolarami. Gotówką.

– Ktoś otworzył panu nowy kredyt?

Quance nie odpowiedział. W dalszym ciągu podziwiał swoje dzieło, wiedząc, że rybka połknęła haczyk.

– No, Arystotelesie, kto to jest? – nastawał Struan.

Quance pociągnął duży łyk koniaku, znów zażył tabaki i kichnął.

– Niech pan siądzie – szepnął konspiracyjnie. Sprawdził wzrokiem, czy nikt nie podsłuchuje. – To tajemnica. – Podniósł akwarelę. – Dwadzieścia gwinei?

– Niech będzie – zgodził się Struan. – Ale ostrzegam, że musi być tego warta.

– Prawdziwy z ciebie książę, Tai-panie. Tabaki?

– Niechże pan mówi!

– Wydaje mi się, że pewna dama ogromnie siebie podziwia. W luście. Całkiem naga. Zlecono mi, żebym ją taką namalował.

– Boże Wszechmogący! Kogo?

– Obaj znacie ją doskonale – oświadczył Quance i dodał z udanym smutkiem: – Przysiągłem, że nie zdradzę jej nazwiska. Lecz uwiecznię jej pośladki dla potomnych. Są wspaniałe! – Znów łyknął koniaku. – Uparłem się, hm, żeby zobaczyć ją całą. Zanim zgodziłem się przyjąć

zamówienie. – W zachwycie ucałował swoje palce. – Jest nieskazitelna, panowie, nieskazitelna! A te cycuszki! Boże na wysokościach, o mało co nie dostałem przez nie waporów!

Pociągnął następny łyk.

– Niechże pan nam powie. No, kto to jest?

– Pierwsza reguła malowania aktów jest taka sama jak przy cudzołóstwie: nigdy nie zdradzaj nazwiska damy! – Quance z żalem opróżnił kufel. – Ale nie znajdzie się wśród was taki, który nie dałby tysiąca funtów za ten obraz. – Wstał, czknął serdecznie, otrząpiał się, zamknął pudełko z farbami i niesłychanie z siebie zadowolony podniósł sztalugi. – No, dość interesów na ten tydzień. Zjawię się u pańskiego faktora po trzydzieści gwinei.

– Dwadzieścia – sprostował Struan.

– Oryginalny obraz Quance’a przedstawiający najważniejszy dzień w historii Dalekiego Wschodu ledwie za cenę beczki napoleona! – rzekł Quance z pogardą. Powrócił na swój barkas i zapląsał skocznie, kiedy przyjęto go tam wiwatami.

– Boże Wszechmogący, kto to jest? – spytał go po jakimś czasie Cooper.

– Na pewno Shevaun – odparł Struan i zaśmiał się krótko. – To podobne do tej młodej damy.

– Niemożliwe. Owszem, jest samowolna, ale nie do tego stopnia.

Cooper zerknął z niepokojem na statek-bazę spółki Cooper-Tillman, gdzie mieszkała Shevaun. Była siostrzenicą jego współnika i przed rokiem przyjechała do Azji z Waszyngtonu. Przez ten czas zdążyła już sobie zyskać tu sławę piękności. Była śliczną, śmiałą dziewiętnastoletnią panną na wydaniu, lecz nikomu nie udało się jej namówić ani do łóżka, ani do małżeństwa. Oświadczyli się jej już wszyscy kawalerowie w Azji, w tym także Cooper. Wszystkich odrzuciła, ale nie zrezygnowała z nich, trzymając ich w ryzach, zresztą tak jak wszystkich swoich zalotników. Cooperowi jednak to nie przeszkadzało, bo był pewien, że kiedyś zostanie jego żoną. Przysłał ją tu pod opiekę Wilfa Tillmana jej ojciec, senator z Alabamy, w nadziei że spodoba się Cooperowi, a on jej, i w ten sposób rodzinne interesy scementują się jeszcze bardziej. Cooper zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia.

– Wobec tego ogłośmy natychmiast zaręczyny – powiedział mu przed rokiem zachwycony Tillman.

– Nie, Wilf. Nie ma pośpiechu. Niech oswoi się z Azją i ze mną – odparł mu wówczas...

Odwrócił się plecami do Struana i uśmiechnął się. Warto było czekać na tę tygrysyce.

– To na pewno jest któraś z „młodych dam” pani Fortheringill – powiedział.

– Te rozpustnice są gotowe na wszystko.

– Oczywiście. Ale nie na zapłacenie Arystotelesowi za portret.

– Stara Końska Morda może by zapłaciła. Dla dobra interesów.

– W tej chwili ma ich pod dostatkiem. Najlepszą klientelę w Azji. Wyobraża pan sobie, żeby ta stara wiedźma płaciła Arystotelesowi? – Cooper skubnął niecierpliwie faworyty. – Jeżeli by mu zapłaciła, to co najwyżej w naturze. Może on z nas żartuje?

– Żartuje ze wszystkiego i wszystkich. Ale nigdy z malarstwa.

– A więc to jedna z Portugalek?

– Wykluczone. Gdyby była mężatką, to małżonek roztrzaskałby jej głowę. A jeżeli wdową, to rozsierdziłaby Kościół katolicki. – Ogorzałe zmarszczki na twarzy Struana wykrzywiły się od uśmiechu. – Zaangażuję wszystkie moce Noble House, żeby się dowiedzieć, kto to jest. Stawiam dwadzieścia gwinei, że dowiem się tego pierwszy.

– Zgoda. Jeżeli wygram, biorę obraz.

– Dalibóg, spodobał mi się, odkąd zniknął z niego Brock.

– Zwycięzca weźmie obraz, a Arystotelesa poprosimy o domalowanie na nim przegranego.

– Zgoda.

Uścisnęli sobie dłonie.

Wtem huknęło działo i obaj spojrzeli na morze.

Wschodnim kanałem pędził pod pełnymi żaglami jakiś statek. Jego swobodnie łopoczące prostokątne sztaksle, bramsle i bombramsle wydymały się na zawietrzną, tworząc dzięki gordingom i nokgordingom pękate wzory, a sztywny takielunek napinał się i śpiewał na coraz silniejszym wietrze. Kliper z pochylonymi żaglami halsował po zawietrznej półwiatrem, fala dziobowa wzbijała go w górę, obryzgując okrężnicę nadburcia, a nad jego spienionym kilwaterem wrzeszczały na powitanie białe na tle zielononiebieskiego oceanu mewy morskie.

Znowu huknęło działo i po zawietrznej statku, ponad jego rufą, powiewającą nad nią brytyjską banderą i flagą z lwem i smokiem na szczycie bezana, przepłynął obłoczek dymu. Zwycięzcy zakładów na wybrzeżu zaczęli co sił wiatować, bo postawiono duże sumy na to, który statek dopłynie pierwszy do kraju i pierwszy przypłynie z wrotem.

– Panie McKay! – zawołał Struan, ale bosman już pędził do niego z lornetką.

– Trzy dni wcześniej i w rekordowym czasie, panie Struan – powiedział McKay, uśmiechając się bezzębnymi ustami. – O cie, ale frunie.

Brocka będzie to kosztować beczkę srebra – dodał i pośpieszył w głąb wyspy.

Klipper „Gromowa Chmura” wytoczył się z kanału, wydostał na otwarte wody i pędził fordewindem, nabierając prędkości.

Struan przyłożył do oczu krótką lornetkę i nastawił ją na flagi sygnałowe, których szukał. Wiadomość brzmiała: „Kryzys nie rozwiązany. Nowy traktat z Imperium Otomańskim przeciwko Francji. Pogłoski o wojnie”. Przyjrzał się z kolei statkowi: był pomalowany bez zarzutu, takielunek miał sztywno naciągnięty, a dziwa na swoich miejscach. W jednym rogu jego fokbombramsła widniała mała czarna łata, umówiony znak, używany jedynie w nagłych wypadkach i oznaczający: „Ważna wiadomość na pokładzie”.

Opuścił lornetkę i zaofiarował ją Cooperowi.

– Skorzysta pan? – spytał.

– Dziękuję.

– Nazywają ją biokularami lub binokularami. Dwojgiem oczu. Ostrość nastawia się środkową śrubą – wyjaśnił Struan. – Zrobiono mi je na zamówienie.

Cooper spojrział przez lornetkę i ujrzał flagi sygnałowe. Był pewien, że wszyscy w tutejszej flocie handlowej próbują odczytać, o czym one mówią, i że starania, żeby złamać szyfr Noble House, kosztują wszystkie firmy handlowe wiele czasu i pieniędzy. Lornetka była silniejsza od lunety.

– Gdzie mogę kupić gros tych binokularów? – spytał.

– Kosztują sto gwinei sztuka. Dostawa za rok.

Chcesz, to bierz, nie chcesz, to nie bierz – pomyślał z goryczą Cooper, który dobrze znał ten ton głosu.

– Zgoda – powiedział.

Na statku wciągnięto nowe flagi sygnałowe, więc zwrócił lornetkę Struanowi.

Druga wiadomość zawierała jedno słowo: „zenit”, będące szyfrem w szyfrze.

– Na pańskim miejscu pozbyłbym się całej tegorocznej bawełny – powiedział Struan do Coopera. – I to szybko.

– Dlaczego?

Struan wzruszył ramionami.

– Sтам się być pomocny. Wybacz pan?

Cooper przyglądał mu się, jak idzie na spotkanie Robbowi, który nadchodził z bosmanem. O czym informują te przeklęte flagi? – zadawał sobie pytanie. – I co miał na myśli, mówiąc o naszej bawełnie? A poza tym czemu do diabła nie przyplynał statek z pocztą?

Właśnie dlatego handel był tak pasjonującym zajęciem. Kupowałeś i sprzedawałeś na rynek z czteromiesięcznym wyprzedzeniem, znając jedynie sytuację rynkową sprzed czterech miesięcy. Jeden błąd, a trafiałeś do więzienia dla dłużników. Dobrze skalkulowane ryzyko, które ci się opłacało – a mogłeś wycofać się z interesu i zapomnieć o Wschodzie. Z brzucha rozlała mu się po całym ciele fala bólu. Bólu Dalekiego Wschodu, który nigdy go nie opuszczał – tak jak większości kupców – i należał nieodłącznie do ich życia. Czy Tai-pan udzielił mi przyjacielskiej wskazówki – zastanawiał się – czy też jest to zamierzony podstęp?

Komandor Glessing w towarzystwie Horatia z zazdrością przyglądał się „Gromowej Chmurze”. Co więcej, pożądliwie. Był to przyzwoity zdobycia, a ponieważ jako pierwszy przypłynął z Anglii i Kalkuty, ładownie miał wypełnione opium. Glessing ciekaw był, co oznaczają wywieszone flagi sygnałowe. I dlaczego na fokbombramslu jest czarna łata.

– Piękny statek – powiedział Horatio.

– Tak, faktycznie.

– Nawet jeżeli jest piracki? – spytał Horatio z ironią.

– Jest piracki z powodu ładunku i właścicieli. Statek to statek, a ta jednostka należy do najpiękniejszych dam, jakie kiedykolwiek służyły człowiekowi – odparł sztywno Glessing. bynajmniej nie rozbawiony dowcipem towarzysza. – A skoro już mowa o damach – dodał, starając się nie zdradzić swoich pragnień – czy ty i panna Sinclair raczylibyście zjeść dziś ze mną kolację? Chciałbym was oprowadzić po moim okręcie.

– To bardzo miło z twojej strony, George – odparł Horatio. – Ja z pewnością tak. A mam wrażenie, że Mary będzie zachwycona. Jeszcze nigdy nie była na fregacie.

Być może dziś nadarzy się sposobność wybadania, co ona o mnie sądzi – pomyślał Glessing.

– Przyślę po was łódź. Czy trzy szklanki – na łamanej wachcie – to dla was odpowiednia pora? – spytał.

– Może lepiej osiem szklanek – odparł nonszalancko Horatio po to tylko, by pokazać, iż wie, że trzy szklanki na tej wachcie to wpół do ósmej, ale osiem szklanek to ósma.

– Doskonale – powiedział Glessing. – Panna Sinclair będzie pierwszą damą, którą będę gościł na pokładzie.

Mój Boże – pomyślał Horatio – czyżby Glessing interesował się Mary nie tylko przelotnie? Ależ tak! Właściwie to on zaprasza ją, a nie mnie. Co za tupet! Nadęty osioł! Co za czelność myśleć, że Mary

w ogóle mogłaby rozważać taką partię! Albo że ja pozwolę jej już wyjść za mąż!

Usłyszeli stuknięcie muszkietu o kamienie i obaj się obejrzeni. Jeden z żołnierzy piechoty morskiej omdlał i leżał na ziemi.

– Co mu się, do licha, stało? – spytał Glessing.

Dowódca żandarmerii okrętowej obrócił młodego żołnierza.

– Nie wiem, panie komandorze – odparł. – To Norden. Od tygodni był jakiś dziwny. Może ma febrę.

– Dobrze, zostawcie go tutaj. Marynarze, zbiórka, żołnierze, do łodzi! Kiedy wszyscy wsiądą, wróćcie i przeniesiecie go.

– Rozkaz.

Dowódca żandarmerii podniósł muszkiet Nordena, rzucił go innemu żołnierzowi i odprowadził podwładnych.

Kiedy zrobiło się na tyle bezpiecznie, że mógł się poruszyć, Norden, który tylko udał omdlenie, wśliznął się za osłonę jakichś skał i ukrył. Panie Jezu, chroń mnie, aż dotrę do Tai-pana – modlił się z rozpaczą. – Nigdy już nie nadarzy mi się taka sposobność. Chroń mnie, o dobry Jezu, i pomóż dotrzeć do niego, zanim po mnie wróca.

Brock stał na rufie swojego statku z lunetą wycelowaną na flagi. Rozszyfrował kod sygnałowy Struana pół roku temu i zrozumiał pierwszą wiadomość. No ale co z tym „zenitem”? Co to znaczy? – zapytywał siebie. – Czemu taki ważny jest ten traktat otomański, że Struan, choć szyfrem, przekazuje to tak publicznie z pokładu zamiast po kryjomu? Może zwiędzieli się, że złamałem ich szyfr? Może chcieli, żebym zrozumiał wiadomość, a „zenit” znaczy, że była fałszywa. Kryzys i wojna oznaczają, że ceny herbaty i jedwabiu pójdą w górę. No i bawełny. Trza kupować na potęgę, jeżeli to prawda! Może też być, że rozchodzi się o to, żebym włożył łeb we wnyki Struana. Gdzie do diabła jest „Siwa Czarownica”? Nie miała prawa przegrać! Przeklęty Gorth! Kosztował mnie tysiąc gwinej.

Gorth był jego najstarszym synem i kapitanem „Siwej Czarownicy”. Synem, którym można się chlubić. Był tak wysoki jak on, równie brutalny, równie silny i dorównywał najlepszym żeglarzom pływającym po tych morzach. O tak, synem, który może być twoim następcą, a za rok, dwa stanie się godzien być Tai-panem – pomyślał Brock. Zmówił w duchu modlitwę za bezpieczeństwo syna, a potem znów go przeklął za to, że przegrał z „Gromową Chmurą”.

– Przepraszam, panie Brock – przerwał mu rozmyślenia Nagrek Thumb. Był to kapitan jego „Białej Czarownicy”, silnie zbudowany, krępy mieszkaniec wyspy Mann. Miał wielkie ręce i twarz ciemną jak pociągnięte werniksem dębowe drewno.

– Słucham, Nagrek?

– Po flocie krąży plotka. Za bardzo w nią nie wierzę, ale nigdy nie wiadomo. Mówi się, że marynarka wojenna dostanie uprawnienia do zrobieńia porządku z naszym szmuglem opium. Że uznają nas za piratów.

– A to ci dopiero! – zadrwił Brock.

– Też się z tego śmiałem, panie Brock. Póki nie usłyszałem, że to zarządzenie ogłoszą o czterech szklankach. I póki nie doszło do mnie, że Struan powiedział Longstaffowi, że wszyscy potrzebują sześciu dni zwłoki na sprzedanie opium.

– Jesteś pewien?

Brock ledwo miał czas przyjąć do wiadomości te wstrząsające wieści, kiedy jego uwagę rozproszyła krzątająca na schodni. Na pokład wkroczyła ociężała Eliza Brock, potężna jejmość z włosami uczesanyymi w luźny kok, z grubymi rękami i siłą mężczyzny. Wraz z nią weszły dwie córki: Elizabeth i Tess.

– Dzień dobry, panie Brock – przywitała męża, mocno stawiając nogi na pokładzie i splatając ręce ponad obfitym biustem. – Choroba, ładny dzionek!

– Gdzieżeś była, złotko? Dzień dobry, Tess. Witaj, Lillibet, mój skarbie – powiedział Brock przepełniony uwielbieniem dla córek.

Elizabeth Brock miała sześć lat i ciemne włosy. Podbiegła do ojca, dygnęła i omal nie upadła, a potem skoczyła mu w ramiona i objęła, na co się roześmiał.

– Byłyśmy u pani Blair – wyjaśniła Liza. – Bardzo z nią kiepsko.

– Straci dziecko?

– Jak Bóg da, to nie – odparła Liza. – Dzień dobry, Nagrek.

– Dzień dobry pani – przywitał się Thumb, odrywając oczy od Tess, która stała przy nadburciu i patrzyła na wyspę.

Tess Brock, wysoka szesnastolatka z szerokimi biodrami i wąskim modnym stanem, rysy miała ostre i nie była ładna, jednakże pewna siebie mina i twarz czyniły ją powabną. I bardzo pociągającą.

– Wrzucę coś na ruszt – oznajmiła Liza, odnotowując w pamięci, jak Nagrek patrzy na Tess. Czas ją wydać, pomyślała. Ale dalibóg, nie za Nagreka Thumba. – Chodź na dół, Tess. Nie zwracaj głowy, Lillibet – powiedziała, kiedy Elizabeth wyciągnęła ręce, chcąc, żeby ją nieść.

– Proszę, proszę, proszę, mamó. Proszę, proszę.

– Masz własne nogi, dziewczyno.

Mimo to Liza zagarnęła małą w swoje potężne objęcia i zniosła ją na dół. Tess poszła za nią, uśmiechnąwszy się do ojca i nieśmiało skinąwszy głową Nagrekowi.

– Jesteś pewien co do Struana i Longstaffa? – spytał ponownie Brock.

– Tak. – Nagrek obrócił się do niego, zmuszając się do wygaszenia rozpalonych myśli o dziewczynie. – Złota gwinea w garści wydłuża człowiekowi uszy. Mam swojego kapusia na okręcie flag.

– Struan w życiu by się na to nie zgodził. Nie mógłby. Bo byłby skończony tak jak cała reszta.

– Ale mówili o tym ledwo co. Dziś rano.

– A co jeszcze powiedzieli?

– Więcej mój kapuś nie słyszał.

– W takim razie to jest oszukaństwo – jeszcze jedna z jego podłych sztuczek.

– Tak. Ale jaka?

Brock gorączkowo rozważył ewentualności.

– Zawiadom nasze lorsche – polecił. – Przewieźcie wszystkie skrzynki z opium na brzeg. A tymczasem pošlij sakiewkę z dwudziestoma gwineami naszemu kapusiowi na „Chińskiej Chmurze”. Powiedz mu, że jak się dowie, co się za tym kryje, dostanie drugie dwadzieścia. Bądź ostrożny. Nie wolno nam go stracić.

– Gdyby Struan go kiedyś pochwylił, to przysłałby nam jego język.

– Razem z głową. Stawiam pięćdziesiąt gwinei, że Struan ma u nas swojego człowieka.

– A ja sto, że pan się myli – odparł Thumb. – Cała nasza załoga jest pewna!

– Obym go nie złapał żywego prędzej niż ty, Nagrek.

– Ale dlaczego wywiesili „zenit”? – spytał Robb. – Naturalnie od razu wejdziemy na pokład.

– Nie wiem – odparł Struan. Hasło „zenit” znaczyło „Właściciel na pokład – pilne”. Spojrzał zachmurzony na „Gromową Chmurę”. Bosman McKay czekał cierpliwie na brzegu, poza zasięgiem ich głosów. – Ty pojedziesz na statek, Robb. Pozdrów ode mnie Isaaca i każ mu natychmiast zejść na brzeg. Przyprowadź go do doliny.

– Dlaczego?

– Na pokładzie jest za wiele uszu. Wiadomość może być bardzo ważna – powiedział Struan i zawołał: – Bosmanie!

– Tak jest, panie Struan! – odkrzyknął McKay, śpiesząc w jego stronę.

– Proszę zawieźć pana Struana na „Gromową Chmurę”. A potem popłynąć na mój statek i przywieźć namiot, łóżko i moje rzeczy. Zanoć na brzegu.

– Tak jest! Przepraszam, panie Struan – powiedział McKay ze skrępowaniem. – Rozchodzi się o jednego młodziaka. Ramseya. Z „Syreny”, okrętu Glessinga. Ramseyowie to krewniacy McKayów. Pierwszy oficer zawziął się na tego nieboraka. Trzydzieści batów wczoraj, a więcej jutro. Capnęli go łapacze w Glasgow i przymusowo służy w marynarce.

– No i? – spytał niecierpliwie Struan.

– Słyszałem, proszę pana – zaczął ostrożnie McKay – że chciałby się zaczepić na jakimś statku.

– Chryste Panie, czy ty masz po kolei w głowie, człowieku? Na nasze statki nie przyjmujemy dezertków. Gdybyśmy świadomie przyjęli takiego, stracilibyśmy statek, i słusznie!

– Święta racja! Pomyślałem sobie, że może by go pan wykupił – powiedział szybko McKay. – Jak zobaczyłem, że komandor Glessing to pański znajomy. Dołożyłbym do tego swoje przyzwoje, panie Struan. To dobry chłopak, a jak nie będzie miał nic do stracenia, to zdezerteruje.

– Pomyślę o tym.

– Dziękuję, panie Struan.

Bosman zasalutował, przytykając dłoń do czoła, i oddalił się biegiem.

– Gdybyś był tai-panem, Robb, to co byś zrobił? – spytał Struan.

– Wcieleni siłą do wojska zawsze są niebezpieczni i nie można im ufać – odparł bez namysłu Robb. – Dlatego ja bym go nie wykupił. Za to teraz miałbym oko na McKaya. Może nasz bosman kręci i został człowiekiem Brocka. Wystawiłbym go na próbę. Wziąłbym pośredników – najlepiej McKaya i jego wroga – a potem zwodziłbym go i nie ufał ani jednemu jego słowu.

– Powiedziałeś mi, co bym zrobił ja – rzekł Struan z błyskiem humoru w oczach. – Pytałem, co byś zrobił ty.

– Nie jestem tai-panem, więc to nie mój kłopot. Gdybym nim był, pewnie i tak bym ci tego nie powiedział. Albo powiedziałbym ci jedno, a zrobił coś odwrotnego. Żeby cię wypróbować.

Robb cieszył się, że może od czasu do czasu nienawidzić brata. Dzięki temu lubił go o wiele bardziej.

– Dlaczego ty się boisz, Robb?

– Powiem ci za rok – odparł Robb i odszedł za bosmanem.

Przez jakiś czas Struan rozmyślał o swoim bracie i przyszłości Noble House. Potem wziął butelkę koniaku i ruszył wzdłuż skalnej rozpadliny ku dolinie.

Tłum kupców przerzedził się i niektórzy odpływali już swoimi łodziami. Inni nadal jedli i pili, a tańczącym pijany szkocki ryl w osiem osób towarzyszyły wybuchy śmiechu.

– Wielmożny panie!

Struan zatrzymał się i spojrzał na młodego żołnierza piechoty morskiej.

– Słucham?

– Potrzebuję pańskiej pomocy. Rozpaczliwie – powiedział Norden. Oczy miał niesamowicie, twarz zszarzała.

– Jakiej pomocy? – spytał Struan, aż nadto świadom, że żołnierza ma u boku broń – bagnet.

– Mam francę – kobiecą chorobę. Pan mi może pomóc. Niech pan da lekarstwo. Zrobię wszystko, wszystko!

– Nie jestem lekarzem, człowieku – odparł Struan, a włosy na karaku zjeżyły mu się. – Czy nie powinien być już w swojej łodzi?

– Pan na to chorował. Ale pan miał lekarstwo. Chcę tylko lekarstwa. Zrobię wszystko – mówił Norden chrapliwym głosem i z pianą na ustach.

– Nigdy nie miałem francy, bracie – Struan spostrzegł, że w ich stronę ruszył dowódca żandarmerii i woła coś, co brzmi jak nazwisko.

– Lepiej wracaj na łódź. Czekają na ciebie.

– Lekarstwo. Niech pan powie jak. Ja mam oszczędności, panie.

– Norden wydobył brudną zawiązaną szmatę i podał ją z dumą. Twarz miał zlaną potem. – Jestem oszczędny i tu jest... tu jest całych pięć szylingów i cztery pensy, panie. To wszystko, co mam przy duszy, a jest jeszcze żołd, mogę panu dać dwadzieścia szylingów miesięcznie. Może pan to wszystko wziąć, przysięgam na rany Pana naszego Jezusa Chrystusa!

– Nigdy nie miałem kobiecej choroby, bracie. Nigdy – powtórzył Struan z sercem ściśniętym na wspomnienie dzieciństwa, kiedy majątkiem były pensy, szylingi i półszylingówki, a nie dziesiątki tysięcy liangów srebra, na nowo przeżywając niezapomniane koszmara młodości: brak pieniędzy, nadziei, jedzenia, ciepła, dachu nad głową, podnoszące się i opadające rozdęte brzuszki dzieci. Dobry, miłosierny Jezu – myślał – mogę nie pamiętać własnego głodu, ale nigdy nie zapomnę głodu tych dzieci, ich krzyków wśród zabójczo zimnego wiatru na plugawej ulicy.

– Zrobię wszystko, wszystko, panie! Proszę. Ja zapłacę. Nie chcę nic za nic. Proszę, wielmożny panie!

Przez plażę kroczył szybko dowódca żandarmerii.

– Norden! – krzyknął gniewnie. – Jak Bóg na niebie, dostaniesz pięćdziesiąt batów za opuszczenie szeregu!

– Nazywasz się Norden?

– Tak, panie. Bert Norden. Ja pana proszę. Chcę tylko lekarstwo. Niech pan mi pomoże. Proszę wziąć pieniądze. Są pańskie, a bę-

dzie więcej. Na Jezusa Chrystusa, zaklinam pana, niech mi pan pomoże!

– Norden! – krzyknął z odległości stu jardów poczerwieniały z gniewu dowódca żandarmerii. – Chodź tu, do diabła, parszywy sukin-synu!

– Proszę, wielmożny panie! – powtórzył Norden z rosnącą rozpaczą. – Słyszałem, że pana wyleczyli żółtki. Pan kupił lekarstwo od nich!

– Słyszałeś kłamstwa. Nie wiem nic o żadnym chińskim leku. Lekarstwa nie ma. Żadnego. Lepiej wróć na łódź.

– Jasne, że jest lekarstwo! – wrzasnął Norden. Wyszarpnął bagnet. – Albo powiesz mi, gdzie je dostać, albo poderżnę ci świńskie gardło!

Przestraszony dowódca żandarmerii puścił się biegiem.

– Norden!!! – ryknął.

Kilku zaskoczonych mężczyzn – Cooper, Horatio i jeszcze jeden – obróciło się. Zaczęli biec w ich stronę.

I wtedy Norden stracił rozum. Mamrocząc i tocząc z ust pianę, rzucił się na Struana i na oślep ciachnął groźnie bagnetem, ale Struan uskoczył i czekał bez obawy, wiedząc, że może zabić nieszczęśnika w każdej chwili.

Nordenowi zdawało się, że otoczyły go olbrzymie diabły z jednakowymi pyskami, ale nie mógł osiągnąć żadnego. Poczuł, jak powietrze gwałtownie ucieka mu z płuc, plaża roztrząskuje mu twarz, a on sam drętwieje w jakiejś bezbolesnej agonii. A potem zapadły ciemności.

Dowódca żandarmerii odsunął się od pleców Nordena i jeszcze raz rąbnął go pięścią. Chwycił go, potrząsnął nim jak szmacianą lalką i ponownie cisnął na ziemię.

– Ki diabeł go opętał? – powiedział wstając. Zagniewaną twarz pokrywały mu czerwone cętki. – Nic się panu nie stało, panie Struan?

– Nie.

Śpiesznie podeszło do nich kilku kupców, Cooper i Horatio.

– Co się stało? – spytał któryś.

Struan ostrożnie obrócił Nordena nogą.

– Biedny głupiec. Złapał kobietą chorobę – powiedział.

– Chryste! – wyszeptał dowódca żandarmerii i zwymiotował.

– Niech pan lepiej od niego odejdzie, Tai-panie – ostrzegł Cooper. – Od jego wyziewów. Jeżeli wciągnie się je do płuc, można się zarazić.

– Biedny głupiec myślał, że kiedyś na to chorowałem i wyleczyłem się. Mój Boże, gdybym znał lekarstwo na tę chorobę, byłbym najbogatszym człowiekiem na ziemi.

– Zakuję wszarza w kajdany, panie Struan – powiedział dowódca żandarmerii. – Przy komandorze Glessingu pożałuje, że się w ogóle narodził.

– Przynieście szpadel – rzekł Struan. – On nie żyje.

Milczenie, które zapadło, przerwał Cooper.

– Pierwszy dzień, pierwszy trup. Zły dżos – powiedział.

– Nie wedle chińskich wierzeń – rzekł z roztargnieniem Horatio, którego mdliło. – Teraz jego duch będzie czuwał nad tym miejscem.

– Dobry to omen czy zły, biedak nie żyje – powtórzył Struan.

Nikt się nie odezwał.

– Panie, zlituj się nad jego duszą – dodał.

A potem skierował się na zachód, idąc wybrzeżem w stronę grani, która zbiegała ze szczytu góry i niemal stykała się z morsem. Kiedy wcześniej popijał na świeżym, czystym powietrzu i wdychał zapach wodnego pyłu, dręczyły go niedobre przeczucia. To zły dżos – powiedział sobie. – Bardzo zły.

Gdy się zbliżał do grani, jego złe przeczucia wzmożyły się, a kiedy wreszcie stanął na dnie doliny, gdzie postanowił wybudować miasto, po raz trzeci odczuł ogrom otaczającej go nienawiści.

– Jezu miłosierny – powiedział na głos. – Co się ze mną dzieje?

Pierwszy raz w życiu tak się przestraszył. Starając się opanować, zerknął na wzgórze, na którym miała stanąć siedziba firmy – Wielki Dom, i nagle pojął, dlaczego ta wyspa jest mu wroga. Roześmiał się.

– Na twoim miejscu, Wyspo, też bym mnie nienawidził. Nienawidzisz. mojego planu! – rzekł. – A więc powiem ci, Wyspo, że to zaiste bardzo dobry plan! Dobry, słyszysz mnie? Chiny potrzebują świata, a świat Chin. A ty jesteś kluczem do otwarcia chińskich wrót, ty to wiesz i ja to wiem, dlatego zrealizuję go, a ty mi w tym pomożesz!

Dość tego – powiedział w duchu. – Zachowujesz się jak szaleniec. A tak, pomyśleliby, żeś oszalał, gdybyś zdradził im, że twoim ukrytym celem jest nie tylko wzbogacić się na handlu i wyjechać stąd, ale także użyć swoich bogactw i potęgi do otwarcia Chin dla świata, zwłaszcza zaś dla angielskiej kultury i prawa, tak żeby oba narody uczyły się jeden od drugiego i rozwijały z pożytkiem dla obu. O tak. To marzenie szaleńca.

A jednak pewien był, że Chiny mają do zaofiarowania światu coś niezwykłego. Co to było, nie wiedział. Pomyślał, że kiedyś być może to odkryje.

– I my również mamy do zaofiarowania coś niezwykłego – mówił dalej na głos. – Jeżeli to od nas przyjmiesz, Wyspo. I jeżeli nie zbezcześcisz tego daru. Jesteś brytyjską ziemią na dobre i złe. Będziemy

cię piastować i zamienimy w pepek Azji – a więc świata. Zaprzęgnę do tego planu Noble House. Jeżeli się od nas odwrócisz, pozostaniesz tym, czym jesteś: znikomą jałową drobiną z nikczemnych płonnych skał – i zginiesz. A na koniec jeszcze coś: jeżeli Noble House odwróci się od ciebie, zniszcz go z moim błogosławieństwem.

Wspiął się na wzgórze i dobywszy z pochwy sztylet uciął nim dwie długie gałęzie. Rozłupał jedną z nich, wbił ją w ziemię, a z pomocą drugiej utworzył prymitywny krzyż. Polał krzyż koniakiem i podpalił.

Ci ze statków handlowych, którzy mieli widok na dolinę i spostrzegli dym i płomienie, odszukali lunety, zobaczyli płonący krzyż, a przy nim Tai-pana, i zadrżeli zabobonnie, zachodząc w głowę, co za nowe diabelstwo szykuje. Natomiast Szkoci wiedzieli, że płonący krzyż to wezwanie dla klanu i dla wszystkich krewnych ze wszystkich spowinowaconych klanów: wezwanie do zebrania się przy krzyżu do walki.

Płonący krzyż mógł wznieść jedynie naczelnik klanu. Zgodnie z dawnym prawem raz wzniesiony płonący krzyż zobowiązywał klan do obrony tej ziemi aż do całkowitego wymarcia rodu.